Nr. 36. Warszawa, dnia 28 Sierpnia (9 Września) 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

W OSTATNIEJ GODZINIE.

Telegramy z Londynu od tygodnia przynoszą wieści o nieuniknionej wojnie. W tym czasie nadeszła z Pretoryi depesza, po której zaraz dzienniki ministeryalne zawołały: „Boerowie czynią wojnę nieuniknioną; zmuszają nas do wojny.“ Oni ich zmuszają! W depeszy miała się znajdować odpowiedź na nową propozycyę wspólnika Rhodesowskiego, Chamberlaina, aby sprawę sporną, wyposażenie uitlanderów, Anglików z Johannesburga, w prawa polityczne, poddać pod wspólne konferencye na gruncie afrykańskim, w Transwalu lub w Oranje. Rząd Krugera według jednych skłaniał się do propozycyi, ale zastrzegał swe prawa z r. 1884; według innych wręcz odmawiał uczestnictwa w naradach wspólnych, uważając je za prawom tym przeciwne, niezgodne z niepodległością, tak krwawo a świetnie zdobytą, wśród takich niebezpieczeństw dochowaną, w takim żarze wrogich zamysłów angielskich bronioną i osłanianą.

Na pewne ani jedni, ani drudzy nie wiedzą, co Kruger, Leyds i Joubert po porozumieniu się z pierwszym Volksraadem postanowili odpowiedzieć i odpowiedzieli na brutalne wdzieranie się potęgi angielskiej w wewnętrzne stosunki drobnego, maluczkiego organizmu politycznego rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, ale to im wszystkim, jak są, nie przeszkadza chórem krzyczeć, teraźniejszości oczów zamydlać, przed przyszłością oczyszczać się krzykiem, że nie Anglia chce wojny, ale Transwal, nie Anglia, ale Transwal jest stroną wyzywającą i on sam sprowadza na siebie nieunikniony skutek walki z potęgą angielską: zagładę. Jest to kłamstwo, które w bezczelności nie ma sobie równego. Wilk stojący bliżej źródła i skarżący się na jagnię, że mu mąci wodę: to obraz całej tej zgrai chciwców ekonomicznych, handlowych i politycznych, którzy nie szukają nawet porządnych, próbę dobrego kłamstwa wytrzymujących, pozorów, aby Transwal podbić orężem lub własnemi jego prawami, — i jednem i drugiem, gdy bowiem prawa wpuszczą Anglików do serca państwa boerskiego, znajdzie się zawsze oręż gotowy w ręce do wymierzenia ciosu. Nowy Jameson pociągnie już na pewne od tej lub owej granicy — i dotarłszy do Pretoryi, flagę angielską na jej budynku rządowym zatknie.

Również jak teraz za rządów zachowawczych, w r. 1877 Aanglia, postanowiwszy wytworzyć konfederacyę południowo-afrykańską, zaczęła swą robotę federacyjną od ogłoszenia Transwalu posiadłością angielską. Rezydent Shapstone wydał proklamacyę, zatknął flagę, wprowadził wojsko — i rzeczpospolita, założona d. 7 lutego 1852, w jednej chwili d. 12 kwietnia 1877 r. znikła. Jeszcze wtedy było trochę sumienia: w pierwszej chwili rząd wyparł się proklamacyi i wiadomości o niej dochodzące nazwał bezzasadnemi pogłoskami. Gdy pierwsze wrażenie ostygło, minister kolonii, Carnarvon, nabrał już śmiałości: stan gwałtu spełnionego przez Shapstone'a nazwał anarchią, przeciwieństwo patryotyzmu lepszych i niemrawości gorszych ochrzcił mianem walki stronnictw, ale przyłączeniu gwałtownemu jeszcze zaprzeczył. Dopiero gdy w fakcie dokonanym zasmakował i zachowawca i liberalny, gdy go już jako swój narodowy czyn odczuwał, jawnie obwieszczono i sobie i Europie, że Anglia włączyła do swych posiadłości obszary zajmowane przez Boerów. Taką metodą kroczył w Afryce w r. 1877 naród angielski na czele cywilizacyi.

Nic innej trzyma się teraz. Wówczas chodziło o Kafrów jakoby krzywdzonych: ludzkość za nimi ujmować się nakazywała; teraz nakazuje sprawiedliwość. Niema tak brudnego śmietnika, jak usta ludzkie: sprawiedliwość i Chamberlain! urządzający nagankę na Transwalczyków! Biedni, krzywdzeni przez Boerów, Anglicy w Johannesburgu, którzy porobili miliony na złocie boerskiem — w r. 1895 wyprowadzili go za 8,179,260 f. st.— grają dziś rolę Kafrów z r. 1877. Rząd boerski nie daje im praw politycznych — więc ich krzywdzi. Na całym świecie, we wszystkich stosunkach pojęcie „sprawy wewnętrznej“ panuje z despotyzmem, wyłączającym najlżejsze tchnienie obce, z zewnątrz idące; tutaj, w stosunku Anglii do Transwalu, gdy chodzi o wzbogaconych spekulantów angielskich, sprawa z wewnętrznej przedzierzga się cudownie odrazu w zewnętrzną, z transwalskiej staje się angielską. Nieśmiertelny wilk! Wojna, nawet obecnie zażegnana, wybuchłaby za dwa, trzy lata, bo przybywa wciąż nietylko Anglików do Transwalu, ale i żądzy zaborczej do polityki angielskiej. Namiętność mocarstwa przeobraża się w namiętność rasy: wojna, kiedykolwiek wybuchnie, będzie rasową. *Dum-dumy* zmiotą tysiące Holendrów; resztę zmielą prawa. Wszystkich Boerów z kobietami i dziećmi może być 60—70 tysięcy. Ale z pomocą Oranje bronić się będą; nie ulegną jak w r. 1877, kiedy im ich prezydent, Burger, pierwszy doradził poddanie się lo-

sowi. W sprawie maleńkiego Transwalu chodzi o rzecz wielką: o prawo, które nigdy małem być nie może. I dlatego sprawa Transwalu jest wielką dla ludzkości: i dlatego też dzisiejsza ludzkość pozwoli ją Anglii rozwiązać jak chce: ten ma prawo, kto ma siłę. A tu nie zaschł jeszcze atrament na aktach konferencyi w Hadze.

LISTY Z PARYŻA.

Sprawa Dreyfusa. — Jej odgłosy we wszystkich warstwach i zakątkach. — Pogląd Loubeta na zaburzenia w Paryżu. — Energia ministeryum i w innych zakresach: ugoda handlowa francusko-amerykańska. — Dążność do złagodzenia stosunków z Niemcami.

Pisząc dziś o Francyi, niepodobna pominąć sprawy Dreyfusa. Góruje ona bowiem nad wszystkiem, co dzieje się obecnie tutaj. Zwłaszcza od rozpoczęcia posiedzeń sądu wojskowego echa jej sięgają najodleglejszych zakątków i wnikają we wszystkie warstwy.

Przytoczę kilka przykładów.

Przez długi czas stronnictwa skrajne zachowywały się względem niej obojętnie. Przed rokiem jeszcze część partyi socyalistycznej traktowała proces Dreyfusa jako rzecz, która obchodzi jedynie burżuazyę. Dziś, gdybyśmy nawet uważali zaburzenia za czyn wyłącznie anarchistów, inne dane przekonałyby nas, że istotnie i masy robotnicze przyłączyły się w części do zwolenników rewizyi. I tak np. po zamachu na Laboriego dzienniki podały odezwę jednego ze znaczniejszych odłamów socyalistycznych, noszącego miano „socyalistycznej partyi robotniczej.“ Autorzy odezwy, potępiając zamach na obrońcę oskarżonego, uznali ów czyn za „poruszenie szumowin ludu w celu zatrwożenia republikanów“ i wezwali wszystkie grupy i syndykaty, aby były „od dziś na pogotowiu, bo być może że jutro wypadnie im zająć ulicę w imię sprawiedliwości i prawa.“

Zresztą wszystkie pisma robotnicze należą teraz (prócz redagowanych przez chrześciańskich socyalistów) do obozu przeciwsztabowego.

Bardzo długo prowincya nie objawiała szczególniejszego zainteresowania dla rewizyi i wogóle dla procesu. W bieżącej chwili stanowisko jej uległo zmianie. W ostatnich dniach sierpnia odbywały się w całej Francyi posiedzenia rad departamentowych. Otóż głównym przedmiotem ich obrad był proces w Rennes. Szesnaście rad z najrozmaitszych stron państwa wysłało do prezydenta ministrów adresy z wyrazami uznania za „energiczne pełnienie zadań włożonych przez republikę.“ Kilka innych potępia usiłowanie zamordowania Laboriego.

Dodajmy, że nastrój prowincyi różni się znacznie od nastroju stolicy. Z bardzo nielicznymi wyjątkami departamenty stanęły po stronie rządu, a wobec wichrzeń, których widownią był Paryż, fakt ten zasługuje na podkreślenie.

Nawet spokojnych badaczów poruszył proces. Historyczny miesięcznik, drukujący tylko dokumenty, *La nouvelle revue retrospective* ogłosił wynalezione przez L. Grasiliera spisane w r. 1789 listy — Henry'ego do Esterhazego.

To nie mistyfikacya. Dziadek Esterhazego służył, jak wiadomo, w wojsku Ludwika XVI.

Zresztą listy te nie są w bezpośrednim związku z bieżącą sprawą, ani nawet z żadnemi malwersacyami. Styczność dokumentu z procesem Dreyfusa kończy się na nazwiskach. Henry, oficer w Maréchaussée donosi 16 sierpnia 1789 r. hr. Esterhazemu, pułkownikowi w Hainaut, że uwięził kilka jednostek podejrzanych o podniecanie do buntu. W cztery dni potem tenże Henry uwiadamia swego przełożonego, że wypuścił więźniów dla braku dowodów.

W każdym razie ci dwaj panowie byli skrupulatniejsi od swoich warunków i nie podrobili żadnego dokumentu dla ukarania podsądnych...

Lecz jeśli cały kraj zajmuje się tak żywo procesem bieżącym, to z drugiej strony jest legion takich, co chcieliby przestać o nim słyszeć. Odbił się on bardzo szkodliwie na handlu i wszystkie domy kupieckie Francyi żalą się na zmniejszenie odbytu. Księgarnie sprzedają mało, wypożyczalnie książek mają obrót znacznie niższy, niż w latach poprzednich. Szeroki ogół pochłania dzienniki i nie ma czasu interesować się czemś innem. Ilość cudzoziemców obniżyła się również w tym roku, wielu bowiem, czytając przesadne sprawozdania w gazetach, obawia się wybuchu zajść ulicznych w stolicy francuskiej.

W tym względzie obawy były dość płonne. Nawet ostatnie zaburzenia nie miały w sobie nic tak groźnego, aby bić wobec nich w dzwony, jak czyniła to prasa europejska. Prezydent republiki wyraził się o nich w mowie, wypowiedzianej w Rambouillet, bardzo trafnie:

„Nie bez głębokiego smutku widzieliśmy zaburzenia uliczne, wywołane wskutek poruszenia umysłów. Ale nie należy brać przesadnie tych wypadków, ani też upadać na duchu. Żywię głębokie przekonanie, iż koniec naszych niepokojów bliski. Energiczne środki, przedsięwzięte przez rząd, świadczą, że jest on mocno zdecydowany bronić republiki i zapewnić poszanowanie prawom.“

Byłoby niemożebnem zaprzeczyć, że proces Dreyfusa ma i znaczenie dodatnie. Jest on zdarzeniem przełomowem, obudził żywotność kraju, skupił żywioły lepsze i postępowsze, wstrząsnął potężnie militaryzmem, ale stanowczo — trwa za długo i po zakończeniu jego wyrwie się z nieskończenie wielu piersi okrzyk: na szczęście, już!

Teraźniejsze ministeryum, które może nareszcie zakończyć go, zasłuży na wdzięczność i na pamięć. Stanowi ono unikat w ostatnim dziesiątku lat. Jego zalety występują jeszcze bardziej, gdy przyjrzeć się jego działalności po za procesem.

Rozwija ją bowiem. Troszczy się o sprawy ważne dla kraju i w niniejszym artykule dwie szczególniejsze rozpatrzę.

Pierwszą jest uregulowanie stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, drugą — coraz wyraźniejsze zbliżanie się do Niemiec.

W czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej stosunki między Francyą a Stanami Zjednoczonymi stały się dość naciągnięte. Obelżywe artykuły pism francuskich, poddane w znacznej części przez ambasadę hiszpańską, wywarły dziś niepożądany skutek. Amerykanie przestali kupować to-

DWA LISTY.

Do salonu wszedł lokaj.

— List od starszej pani przez u-[illegible]

Młoda kobieta zerwała się od pianina i klasnęła w ręce.

— A... zapomniałam! Wyobraź sobie, Władku, obiecałam mamie napisać zaraz trzeciego dnia po ślubie, a dziś już tydzień mija od naszego wyjazdu. Biedna mama, pewnie się niepokoi. Zaadresowała: „Do moich kochanych dzieci — Maryi i Władysława Podlodowskich.“ Kto ma otworzyć?

— Wszystko jedno, kochanie, otwórz sama i przeczytaj głośno — odrzekł stojący w progu trzydziestokilkoletni mężczyzna.

Rozerwała gorączkowo kopertę i zaczęła:

„Drogie dzieci! Zakochani są największymi w świecie egoistami — dawno o tem wiedziałam: lecz zdawało mi się, że zdanie to dotyczy tylko ogółu, nie wybranych, do których was zaliczam i że wasze serca nie podlegają ułomnościom przeciętnych natur ludzkich. Marylka dała mi słowo, że napisze do swej mateczki na trzeci dzień po naszem pierwszem i tak ważnem rozstaniu. Byłam bardzo niewymagająca — prosiłam tylko o króciutki list, o dwa słowa: Jestem szczęśliwa. Tymczasem szósty dzień nadchodzi, a ja nic a nic o mojem dziecku nie wiem. Powinnam milczeć i czekać, póki się pierwsi nie odezwiecie; ale miłość macierzyńska okazała się despotyczniejszą od miłości własnej, która też kapitulowała przed nią bez oporu. Niepoczciwe, kochane dzieci, czy nie odbiorę od was choć paru słów: czyście szczęśliwie zajechali na miejsce, czyście zdrowi i czy pamiętacie jeszcze o waszej osieroconej, starej, a tak was kochającej matce!“

— Odpiszemy razem Marynu- - dobrze?

— Dobrze, ale każde od siebie.

— Aaa — tak, zatem nie razem.

Młoda pani podparła głowę i zadumała się. Przez jej bladą twarz przebiegło lekkie drżenie, które targnęło kącikami ust, jakby je skusić chciało do płaczu.

— Więc piszemy zaraz — rzekła głosem suchym i usiadła przy swojem biurku.

Władysław poszedł do sąsiedniego gabinetu i uczynił to samo. W mieszkaniu zaległa cisza, przerywana tylko szelestem skrzypiących po papierze stalówek.

Mężczyzna pisał:

„Najdroższa, nieoceniona matko! Całuję z czcią twoje ręce. Wyhodowałaś mi piękną, anielsko czystą lilię. O takiej dziewiczości myśli i tak niepokalanej wyobraźni pojęcia nie miałem. Dzięki ci za to. Nie uwierzysz, jaka to rozkosz dla mężczyzny w tym wieku, co ja, z takiego białego dziecka uczynić zarumienioną cudownie i drżącą pierwszemi wzruszeniami uczuć ziemskich kobietę, roztulać ten śnieżny, choć chłodny jeszcze pąk wiosenny w pełną i ognistą różę, wprowadzać ją w życie rzeczywiste, realne, uczyć kochać i uczyć żyć, ukazywać jej cały świat niespodzianek i nowych wrażeń. A te wykrzykniki uroczo-naiwne, te jej niewinne oczęta, te minki trwożne, przerażone, a zawsze ogromnie zdziwione i trochę żałosne!... O bóstwo białe dziewiczości — ileż ty dałoś mi świętych upojeń!

Dziękuje ci matko za taką żonę, za taką duszę, za taką czystość i za takie szczęście. — Władysław.“

Skończywszy pisać, odwrócił się i spojrzał na żonę.

Między draperyami portyery, zawieszonej nad drzwiami sąsiedniego pokoju widział ją, pochyloną nisko nad listem. Twarz jej w tej chwili była dziwnie zmieniona. Wyraz dziecinnej słodyczy ustąpił miejsca walce gwałtownych uczuć, które ją czyniły wzburzoną, zaciętą, niespokojną i znękaną zarazem. Głęboka, pionowa zmarszczka przecięła między łukami brwi gładką powierzchnię czoła, oczy pociemniały, na rzęsy wystąpiły łzy, które po chwili zaczęły toczyć się po policzkach i spadać cicho na papier.

Mąż, śledzący ją z pod oka, zaniepokoił się. Wstał i przeszedłszy na palcach pokój, stanął niepostrzeżony za jej plecami.

Oto, co żona jego pisała do matki:

„Najdroższa mamo! Słowa te zranią cię boleśnie, wiem o tem, lecz przyzwyczaiłaś mnie od dzieciństwa spowiadać ci się z każdego dreszczu duszy, a taki chaos sprzecznych uczuć i myśli miota mną w tej chwili! I cóż mnie hodowano jak kwiat

wary francuskie, a potem utrudnili im wogóle dostęp do swego kraju.

Przyniosło to znaczne korzyści Niemcom, którzy natychmiast zajęli stanowiska opróżnione po Francuzach.

Po wojnie Francya wszczęła rokowania i teraźniejszy minister handlu zdołał zawrzeć umowę handlową ze Stanami Zjednoczonymi. W zamian za zniżenie opłat od niektórych produktów amerykańskich, Francya otrzymała tę samą ulgę dla swoich wytworów. Umowa ta będzie miała duże znaczenie dla handlu francuskiego.

Nie dość na tem. Ministeryum popierało także zabiegi nowej kompanii panamskiej, pragnącej dobić targu z Amerykanami co do podjęcia na nowo robót około osławionego przesmyka. Zabiegi nie poszły na marne: w tych dniach zaczynają się w Paryżu obrady komisarzy amerykańskich z przedstawicielami wspomnianej kompanii.

Złagodzenie stosunków niemiecko-francuskich jest chyba dla każdego mieszkańca Europy pożądanem. Praca więc w tym duchu zasługuje na uwagę.

Przeto za bardzo rozsądny należy poczytywać krok ministra spraw zagranicznych, Delcassego. W przejeździe z Paryża do Petersburga zatrzymał się w Berlinie i nadał oznaki legii honorowej lekarzowi marynarki, M. Brenerowi. Przed ośmiu laty Brener udzielił z narażeniem własnego życia pomocy lekarskiej majtkowi francuskiemu, znajdującemu się na pokładzie skołatanego burzą statku. Prawda, że wdzięczność za szlachetny czyn jest troszkę spóźnioną, ale jak mówi przysłowie: lepiej późno, niż nigdy. Odznaczenie to wywarło wrażenie w Niemczech.

Taktownym był także postępek ministra wojny, Galliffeta.

D. 18 sierpnia odsłonięto w Saint-Privat pomnik żołnierzom niemieckim, poległym tu w r. 1870. Wobec tego Galliffet wydał do naczelników wojska na pograniczu alzackiem następujący okólnik:

Z powodu inauguracyi pomnika w Saint Privat, należy zachować bardzo wiele taktu w obchodzeniu obrzędu pamiątkowego, który ma odbyć się jak zwykle 16 sierpnia w pobliskiem Mars la Tour. Potrzeba zapobiedz wszelkim manifestacyom, mogącym wywrać echo po przeciwnej stronie granicy. Wskutek tego proszę udzielić żołnierzom tylko ograniczoną ilość pozwoleń nieobecności w obrzędzie, a nadto dodać im do towarzystwa kilku przełożonych."

Postanowienia takie idą w parze z życzeniami mieszkańców w obydwóch państwach. Po spotkaniu się w Bergen statku Wilhelma i okrętu francuskiego, „Iphigénie," pragnienia owe nabierają coraz więcej wyrazistości. Współdziałanie władz francuskich jest w danym razie bardzo stosownem. *B.*

Tydzień polityczny. Proces w Rennes miał trzy nowe badania tajemnych dokumentów i do czwartku b. t. siedem nowych posiedzeń jawnych. Przesłuchano kapitana Lebrun-Renaulta, na punkcie przyznania się Dreyfusa do winy w r. 1895, awanturnika Cheruschiego, „spokrewnionego z dynastyą serbską," senatora Trarieux, Picquarta, Lautha, kapitana Lamotte i na każdem posiedzeniu generałów Merciera i Rogeta, jakby prokuratorów przeciwko Dreyfusowi. Przemawiali też Boisdeffre i Gonse. Labori zażądał okazania przez rządy zagraniczne dokumentów z bordereau. Sąd i rząd odmówili. Podobno sam do Berlina i Rzymu napisał. Przeciwko wezwaniu Schwarzkoppena i Panizardiego przewodniczący Jouaust nic nie ma: zapewne się stawią, jeśli im ich rządy pozwolą. Ciągle dyplomacya ściska sprawiedliwość; doskonałego dowodu mieć nie można. Dziś tajemnica jest czczem głupstwem, bo dokumenty nie mają żadnej wartości; ale z pozorów, z form ciągnie korzyść nieprzełamany upór i opór przeciw rewizyi, objawiający się niechęcią i arogancyą. Nadzwyczajne środki ostrożności w Rennes, a nawet w Paryżu — wskazują napięcie. Dobrze, że rząd odważył się na poruszenie roju spiskowego w całej Francyi: w razie uniewinnienia mógłby być wybuch.

Spisek był; są dowody, głównie listy. Nacyonaliści i antysemici dawali mu formę dążeń społecznych dla celów politycznych. Wielu ich uwięziono. Oskarżonych ma być dwudziestu kilku, głównie Deroulède, Habert, Guerin, zamknięty wciąż w swej twierdzy przy ulicy Chabrol i jakiś jeszcze czwarty, nieczytelny. Senat, będący sądem sejmowym na przestępstwa polityczne rdzenne, przewrotowe, wskutek uchwały rady ministrów pod Loubetem zbierze się d. 18 b. m. We dwa miesiące później zacznie sądzić zamachowców.

Cesarz Wilhelm po dobrej mowie w Marie St Privat, d. 17 sierpnia, w przeddzień 29-ej rocznicy morderczej bitwy, w której Niemcy przełamali opór armii francuskiej, powiedział mniej szczęsną w Potsdamie do gwardyi, a teraz znowu, d. 6 b. m. w Strassburgu umiał przemówić głosem rzeczywistego monarchy i Niemca do Niemców. Cieszy go przyjęcie gorętsze, oswajanie się Alzatczyków z dobrodziejstwami nowego panowania; wybacza pokoleniom, które były ich sympatye; pragnie myśleć o dobru tego, które dziś jest. Cesarz się nie myli: Alzacya odwraca się od Francyi, gdy Francya odwróciła się od Alzacyi. Prawo zdobyczy tylko może dziś dać jej to, co straciła, jako zdobycz, nie jako odłam narodu francuskiego wracający do całości. Tak gasili ogień, aż go zaleli we własnych duszach.

Po odroczeniu sejmu pruskiego w d. 29 z. m. cesarz dał dymisyę ministrowi spraw wewnętrznych, von der Reckemu von der Horst — bo tak się ten pan w swej wspaniałości nazywa — i ministrowi oświaty, Bossemu: pierwszy ma następcę w Rheinhabenie z Dusseldorfu, drugi w jakimś Studt'cie, ciemnej zupełnie figurze. Powód dała niesforność urzędników w sejmie, głosujących przeciw rządowi. Dwudziestu kilku ich zawieszono w urzędowaniu, w tej liczbie kilkunastu landratów; nawet na prezesa regencyi poznańskiej spadła rózga. Stanowcza nota ostrzega na przyszłość. Z zamknięcia sejmu widać, że rząd nie wyrzeka się kanału Ren-Wezera-Elba.

ŻYCIE SPOŁECZNE

PIERWSZA PRÓBA.

Dzięki zabiegom ministeryum komunikacyj, powstaje w Rosyi pierwsza państwowa forma ubezpieczenia na życie. Jest to zadanie niezmiernie ważne pod względem społecznym i niesłychanie trudne w zakresie technicznym i organizacyjnym. Jako dzieło społeczne, natrafia ono na grunt bardzo mało uprawny. Uboż-

---

w atmosferze sztucznej, cieplarnianej — w białem dziewictwie myśli? Czy po to, bym nagle z ust męża dowiedziała się, że jestem tylko ostatnim etapem na drodze namiętności, ołtarzem, na którym dogasają iskry ognia, rozpalonego niegdyś wśród bengalskiej łuny młodzieńczych porywów?

A więc on nie mnie pierwszą kocha, nie mnie pierwszą i jedyną pieści i tuli w swych objęciach! Może w splocie mych ramion odczuwa ciepło i kształt innego ciała, może powracająca fala wspomnień uderzając o brzeg pamięci, niezależnie od jego woli, przynosi mu myśl o tamtych wszystkich, które były przede mną — o tamtej pierwszej! O, bądź przeklęta ty, która skradłaś mi dziewictwo cielesne i duchowe mego męża. Przeszłość moja, to karta biała, nietknięta nawet tchem zmysłowości; przeszłość jego — to cała księga szałów, uniesień i marzeń. We wzroku jego, w uśmiechu widzę te prauśmiechy, te praspojrzenia, które towarzyszyły pierwszemu wyzwoleniu się zmysłów. Co za męka! Pieszczoty, któremi mnie dziś darzy, nie sąż tylko lichą kopią, nędznem echem poprzednich! Dlaczego, matki, pielęgnujecie nasz umysł w gołębiej prostocie i niepokalanej bieli myśli? Czy dlatego, byśmy rozstrzygały o całem naszem życiu z zawiązanemi oczami, jak ślepce, a wtedy, gdy uczynimy wybór, przeważona szala losu i odwrót już niemożebny, prawda uderzyła w nas jak piorun oślepiający? Idziemy jak owce na rzeź, nie wiedząc nawet, co dajemy wybranemu mężczyźnie, nie wiedząc, co on nam daje, nieświadome jego przeszłości, ani praw życia, ani praw natury, błędnie wnioskujące o świecie, dzieci łatwowierne i bezbronne, które rzucają swe szczęście pod nogi ślepemu przeznaczeniu! Czyż ktokolwiek powinien rozstrzygać o życiu człowieka, prócz niego samego? — Czyż ktokolwiek, nawet matka, ma do niego prawo?

Powiedz mamo, coby się było stało z mojem szczęściem, gdyby Władysław był zręcznie zamaskowanym nikczemnikiem? Chyba już wtedy dla mnie nie byłoby ratunku, a ty byś umarła ze zmartwienia, gdyż z przeciwnikiem, posiadającym w małżeństwie taką przewagę w środkach ujarzmienia, jak mąż, walka kobiety jest niemożebną. W tej walce dusza kobiety zginąć musi! Niewinność, a raczej nieświadomość, to, co stanowi ów czar nieporównany dla mężczyzny, czyż to nie pajęcza iluzya, zachowana dlatego, aby miał rozkosz moralną zepsuć ją i podeptać po ślubie? Czyż to nie ustępstwo jedynie, uczynione męskiemu egoizmowi? A — jak nieszczęśliwą się czuję, jak rozpaczliwie słabą i bezradną wobec tego, co przeszło, a więc zmienić się już nie da, jak rozżalona na Władysława, na ciebie... na wszystko i wszystkich!..."

Nagle usłyszała za sobą westchnienie. Drgnęła, odwróciła się i spostrzegła męża. Stał z głową zwieszoną i patrzał na nią ze smutkiem pełnym współczucia.

Łagodnie położył rękę na zapisanej ćwiartce.

— Maryniu — ty tego nie poślesz?

— Czytałeś?

— Tak — rzekł głucho.

Spuściła oczy, mieniąc się na twarzy.

— Poślę!

Więc mnie nie kochasz, nienawidzisz, czujesz się nieszczęśliwą?...

— Nie, ale jestem rozgoryczona... zdenerwowana... nie powinieneś się dziwić...

— I nie dziwię się wcale. Postąpiłem jak brutal. Nie powinienem był odrazu mówić ci wszystkiego, niszczyć za jednym zamachem wypieszczonej i wymarzonej przez tyle lat poezyi dziewiczych złudzeń. Ale w tej sprawie ja tu jedynym jestem winowajcą. Po cóż zakłócać spokój mamie? Biedna mateczka — ona pragnęła tylko twojego, naszego szczęścia!

Zbladła, a potem zaczerwieniła się.

— Proszę, przeczytaj przedtem mój list — dobrze?

Podał jej swoje pismo i stanął obok.

Przebiegła je szybko wzrokiem i zaczęła mrugać powiekami, walcząc z ogarniającem ją rozrzewnieniem.

On objął ją wpół i przyciągnął delikatnie ku sobie.

Położyła mu głowę na piersiach i, uśmiechając, rozpłakała się.

— Poślesz?

— Nie poślę.

Wzięła list i podarła go. Potem, pod listem męża dopisała dwa słowa: „Jestem szczęśliwa."

Orsyd.

pieczenia życiowe w obrębie państwa rosyjskiego jeszcze nie wyrobiły sobie takiego prawa obywatelstwa, ażeby mogły się stać nieodzowną podstawą przyszłości każdej rodziny. Potrzebne więc przedewszystkiem odpowiednie przygotowanie gruntu. Rząd posiada olbrzymie środki, których mógłby użyć do urządzenia i rozwoju samej instytucyi; nie posiada natomiast tych sposobów zachęty i szerzenia idei ubezpieczeń, jakimi się posługują towarzystwa prywatne. Ze względu na swoje stanowisko, rząd nie zechce uciekać się do takich środków współzawodnictwa. Już za granicą doświadczenie wykazało, że inicyatywa prywatna daleko idzie w tym zakresie i nie da się wyprzedzić instytucyom państwowym.

Pierwsza próba ubezpieczeń państwowych w Rosyi znalazła się atoli w odmiennych warunkach, niż na Zachodzie Europy. Dziś już większość kolei żelaznych jest w posiadaniu skarbu. Za lat kilkanaście komunikacya kolejowa prawie zupełnie będzie upaństwowiona. Już więc w chwili obecnej jest wielka armia pracowników instytucyi jednolitej, dla których właśnie stworzono osobną organizacyę ubezpieczeń życiowych. Cała służba kolei państwowych należy bądź do kasy emerytalnej (utworzonej 1894), bądź też do innych kas emerytalnych i oszczędnościowo-zapomogowych, utworzonych 1888 r. Pracownicy kolei prywatnych są również uczestnikami różnych kas kolejowych. Ogółem jest ich w całem państwie przeszło 350,000. Jest tedy podstawowa organizacya: kasa emerytalna z całym aparatem wykonawczym.

Otóż tej instytucyi dano pozwolenie na operacye ubezpieczeń życiowych, początkowo dwojakiego rodzaju: 1) ubezpieczeń zwyczajnych na wypadek śmierci i 2) mieszanych. Tymczasowo *maximum* sumy ubezpieczeń wynosi 10,000 rb. Co do szczegółów ubezpieczeń, obowiązują takie same przepisy, jak w towarzystwach prywatnych. Oprócz ubezpieczeń pojedynczych istnieją zbiorowe, złożone z grup, przynajmniej po 25 osób, których maksymalna suma ubezpieczeń wynosi 25,000 rb. Taryfy ubezpieczeń państwowych są niższe, niż towarzystw prywatnych dzięki temu, iż asekuracya ta ma już całą machineryę gotową, nie ponosi wydatków na agentury i inne urządzenia. Nadto ubezpieczający się mają tę dogodność, że mogą łatwo spłacać premie za pomocą potrącania z pensyi co miesiąc odpowiedniej kwoty. Dzięki tym udogodnieniom i uproszczeniom, asekuracya państwowa może nietylko współzawodniczyć z prywatną, lecz nawet ją pobić zupełnie. Ubezpieczać się mają prawo wszyscy urzędnicy z dziedziny komunikacyjnej od najwyższych do najniższych, zarówno z głównych ognisk zarządu, jak i wszelkich rozgałęzień. Uczestnik ubezpieczeń, nawet porzuciwszy stanowisko urzędnika kolejowego, może się asekurować w dalszym ciągu, jeżeli w służbie kolejowej przebył trzy lata. Ale już w takim razie musi sam wnosić raty w terminach właściwych. W razie nieakuratności otrzyma on odpowiednią kwotę za polisę i będzie wykreślony z listy asekuracyjnej.

Dzięki takim warunkom dogodnym i postawieniu asekuracyi państwowej odrazu na gruncie trwałym, można mieć nadzieję, że za lat kilka, jeżeli nie wszyscy, to znaczna większość pracowników kolei rządowych przystąpi do ubezpieczeń życiowych. Cała ta nowa organizacya jest faktem bardzo doniosłym w dziejach życia społecznego i ekonomicznego. Dodać winniśmy, że w tym zakresie spostrzegamy wielce znamienny objaw, dążność do zabezpieczenia przyszłości pracowników kolejowych. Jedną formą tej pieczy jest los inwalidów, a więc tworzenie przytułków specyalnych dla pracowników starych lub tych, którzy stargali przedwcześnie swe siły w pracy uciążliwej, z drugiej zapewnienie bytu po upływie pewnej liczby lat i stworzenie podstaw ich rodzinom za pomocą asekuracyi życiowej.

Rozwój urządzeń społecznych w tej mierze zrobił pewien przeskok, więc należy oczekiwać uzupełnienia tego, co po nim zostało. Mianowicie mamy na myśli naprawę i utrwalenie bytu pracowników kolejowych — w teraźniejszości. Jest to machinerya bardziej złożona i powikłana, więc dlatego zapewne nie mogła uprzedzić organizacyi powyższej. Można byłoby wszakże tutaj wprowadzać ulepszenia częściowo, zaczynając od spraw najpilniejszych, do których przedewszystkiem zaliczam przeciążenie niższych pracowników we wszystkich działach machineryi komunikacyjnej. Przeciążenie to pochodzi z wielu przyczyn: między innemi — z nierównomiernego podziału pracy i z braku odpowiedniej liczby pracowników w dziale t. zw. „służby ruchu.“ Skutkiem tego ludzie ci tracą zupełnie siły, nawet przed okresem wieku emerytalnego. Na warunki pracy pewnych grup urzędników tej kategoryi już zwrócono uwagę i jest nadzieja, że w przyszłości doczekamy się pewnych reform na lepsze. Tymczasem zaś wszystko to jeszcze jest w fazie „roztrząsań,“ a więc oczekują przejścia z papieru do życia następujące sprawy: doprowadzenie do możliwego *minimum* liczby godzin pracy maszynistów i zarazem zmiana sposobu ich wynagradzania (zwiększenie pensyi zamiast zarobków dodatkowych: „milowych“ i „wiorstowych“), zwiększenie liczby telegrafistów na stacyach, pomocników zawiadowców i zwrotniczych. Na dalszym już planie stawiamy zapewnienie stałych wakacyj wszystkim pracownikom kolejowym, obarczonym nieustanną pracą. Dotychczas w tej mierze nic jeszcze nie zrobiono: przeciwnie — wyjednanie urlopu należy do zadań bardzo trudnych. Korzystać z tych przywilejów mogą tylko wyżsi urzędnicy, tj. najmniej obarczeni pracą uciążliwą.

Z NIEMIEC.

Berlin, 5 września.

Nigdzie handel nie szedł tak raźnie i gładko jak w sejmie pruskim. Junkrzy stanowiwszy większość w tej instytucyi, kazali sobie opłacać swą potęgę i wpływy parlamentarne sowitym haraczem, który rząd uiszczał zwykle sumiennie bez targu i oznak niezadowolenia. Nieraz może w głębi duszy życzył on sobie gorąco przybycia opozycyjnego rycerza, który wyrwałby nieszczęsną królewnę gwałtem z niewoli smoka junkierskiego, lecz ani na chwilę nie mógł się oddawać nęcącej illuzyi, iż mrzonka ta urzeczywistni się kiedykolwiek: sejm pruski bowiem zwołuje się na mocy trzyklasowego systemu wyborczego. Obywatele zostają ugrupowani podług siły podatkowej, a zatem bankier lub baron, wnoszący do skarbu 100 tys. marek rocznie, przechyla na swą stronę szalę, na której ważą się głosy 9 tys. pospolitaków, płacących po 10 marek rocznego podatku. To też w chórze wyborczym niknie głos ludu, a nawet zamilkł zupełnie, gdyż zaledwie szósta część ludności wyborczej bierze w nim udział. Ponieważ głosowanie odbywa się w dodatku jawnie, więc nic dziwnego, że od świętej pamięci sejm pruski stał się domem zajazdu dla wszelkiego rodzaju zniedołężniałych landratów, wysłużonych urzędników itp. Ta właśnie politycznie niepokalana większość zachowawcza decydowała o losach narodu, a raczej zatwierdzała to, czego sobie życzył rząd.

W tej formie utrwaliły się stosunki parlamentarne w Prusiech oddawna. Rząd przeprowadzał za pomocą sejmu wszelkie ustawy reakcyjne, lecz przez wdzięczność musiał zaspakajać wilczy apetyt popleczników. Ministrowie nie skąpili łask i dobrodziejstw klice junkierskiej. W ostatnich czasach warunki te uległy zmianie. Przedewszystkiem z wielkim trudem zrobiono nieznaczny wyłom w większości konserwatywnej. Co zaś ważniejsza, rząd daje wyraźnie do zrozumienia, iż nie zawsze jest panem swej woli. Wszak niekiedy dla dobra kraju musi on czynić zadość życzeniom klasy przemysłowej. Napomknienia te były konieczne ze względu na zbliżający się termin upływu traktatów handlowych, a więc chwili, kiedy namiętności i niesnaski wybuchną z siłą żywiołową, kiedy znowu zionie przepaść interesów ekonomicznych pomiędzy landlordami niemieckimi a ludem pracującym. To też aby zawczasu pokazać rządowi swą pięść, aby zniechęcić go do układów z przeciwnikiem i przejścia na jego stronę, jak to miało miejsce za Capriviego, junkrzy postanowili skorzystać z pierwszej sposobności w celu ostrzeżenia rządu. Okazya taka nadarzyła się. Rząd powziął mianowicie zamiar przeprowadzenia kanału pomiędzy Renem a Łabą. Byłby to krok zaiste doniosłego znaczenia kulturalnego. Kanał taki połączyłby przedewszystkiem dwie pierwszorzędne komunikacye wodne Prus, a nadto spoiłby dwie dzielnice państwa o zupełnie odmiennej fizyognomii ekonomiczno-społecznej. Wschód ze swą przeważającą wielką własnością ziemską i charakterem wybitnie rolniczym ciąży ku „starym dobrym czasom“ swawoli feodalnej, podczas gdy prowincye zachodnie, ogniskujące w sobie wielki przemysł pruski, musnął lekkim powiewem prąd nowoczesnego demokratyzmu. Kanał uskuteczniłby wymianę produktów pomiędzy obiema połowami Prus i przyczyniłby się do częściowego złagodzenia sprzeczności pomiędzy przemysłem a rolnictwem. Oczywiście nie należy przypisywać ministrom podobnych górnolotnych planów. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa kierowali się oni pobudką stworzenia niezbędnej komunikacyi strategicznej. Rzeczoznawcy wojskowi dawno już zadecydowali konieczność powyższego kanału. Bądź co bądź, każdy parlamentaryusz mógł ze spokojnem sumieniem przyklasnąć projektowi rządowemu. Junkrzy atoli postanowili właśnie przy tej sposobności dać naukę rządowi, aby odczuł ich potęgę i porzucił wszelką nadzieję wydostania się z ich szponów. Oświadczyli przeto wręcz, iż nie uchwalą złamanego szeląga na rzecz kanału, a to z tego powodu, iż sprawa wyjdzie na korzyść przemysłu, im zaś może tylko przynieść stratę, udogadniając ucieczkę na zachód wiejskich ro-

botników. Lewica rządu powinna zawsze wiedzieć, co czyni prawica. Jeśli jedną ręką wspiera on przemysł, musi zaraz drugą sypnąć garść ustępstw niechotnieżemu rolnictwu. Rząd zgodził się i na to. Aliści junkrzy nie zadawalając się obiecanką, żądali rękojmi, więc wraz z jedną ustawą musiałaby nastąpić równocześnie modyfikacya drugiej, wynagradzającej junkrów za ich patryotyzm. Rząd żadnym sposobem nie mógł przystać na to, aby nim pomiatano, jak nieletnim żakiem Rokowania, ciągnące się przez kilka miesięcy, spełzły na niczem; perswazye i prośby nie przebiły muru egoizmu. Niemcom ukazał się nowy widok „frondy“ junkierskiej. Cesarz na razie nie chciał wierzyć, i ażeby dowieść prawdy, iż sprawa leży jemu osobiście na sercu, wygłosił mowę, w której podkreślił, iż nie cofnie się ani na krok od swych pierwotnych zamiarów: tak lub owak kanał zostanie przeprowadzony. Junkrzy pomimo to o żadnych ustępstwach słyszeć nie chcieli. Bez osłonek parlamentarnych oświadczyli, iż bezpłatnie nie myślą wyciągać kasztanów z ognia dla innych prowincyj, bogatych dostatkiem i przemysłem. Przez cały tydzień ubiegły sejm pruski obradował nad ustawą kanałową. Kampanii rządowej przewodniczył Miquel, wielokrotny przechrzta polityczny. Mąż ten, który wycierał kąty we wszystkich stronnictwach politycznych, a u schyłku żywota jest starą bigotką, stał się niewzruszoną opoką prawowiernego junkierstwa, obdarzył je za swych rządów ministeryalnych wszelkiemi łaskami skarbowemi, szafując hojnie funduszem rządowym dla ich dobra. Teraz wdzięczni junkrzy napomknęli dość wyraźnie, iż człowiek, który obtańcowywał wszystkie partye, nie zasługuje na wiarę. Ów potężny Miquel, mający za sobą, co się zowie, szerokie plecy, stał się wprost pośmiewiskiem sejmu. Gdy zaczął używać forteli, chcąc przecisnąć się pomiędzy Scyllą a Charybdą parlamentarną, aby ocalić choć część tonącej ustawy, spotkał go grad szyderstwa z obu stron. Poznano się nareszcie na farbowanych lisach przebiegłego dyplomaty i karyerowicza. Prawica dała do zrozumienia, iż nie zatwierdzi nawet części kanału, dopóki nie będzie miała pewności, iż na tem skończy się cała sprawa; lewica zaś widząc, iż rząd dla uratowania swego honoru gotów poświęcić całość dla ułamka, odmówiła również swych głosów. I ustawa przepadła.

H. F.

KARTKA Z DZIEJÓW WŁOŚCIAN.

I.

W r. 1898 upłynęło pół wieku od zniesienia przez rząd wiedeński w Galicyi *pańszczyzny*. Data to ważna w dziejach tego kraju, szczególnie dla Rusinów tamtejszych, jako społeczeństwa zupełnie chłopskiego. Pobudzeni tym ostatnim względem, tudzież chęcią urządzenia demonstracyi politycznej, obchodzili oni ów „jubileusz“ nader uroczyście, a lwowskie Towarzystwo „Proświta“ wyznaczyło konkurs na napisanie popularnej historyi pańszczyzny i jej zniesienia. Widocznie jako najlepszą, wydało ono pracę dr. Iwana Franka *).

Autor zapewnia, że napisał książkę dla ludu, ale czysto naukową; oświadcza „ze spokojnem sumieniem, że starał się dać czytelnikom tylko *nagą, szczerą prawdę* (podkreślono w oryginale!), a nie chciał nawracać ich na żadną: chłopską, czy pańską, czy też austryacko-biurokratyczną wiarę.“ Postanowienie — w ustach historyka — zupełnie naturalne i zrozumiałe; w opracowaniu publicysta i człowiek rozgoryczony wziął jednak górę nad historykiem. Książka jego ma więc niezaprzeczoną wartość, jako pierwszy *przegląd historyczny* sprawy pańszczyźnianej w Galicyi, *historyą* jednak nie jest.

Weźmy ją naprzód ze strony najlepszej, jako przegląd. Przejrzyjmy łańcuch faktów.

Po streszczeniu dziejów pańszczyzny w dawnej Polsce, o czem później, autor przystępuje do przedstawiania rozwoju stosunku pańszczyźnianego pod panowaniem austryackiem. Czyni to na podstawie bardzo pracowicie zebranego materyału ustaw i aktów współczesnych.

Rząd austryacki, po przyłączeniu Galicyi w r. 1772, przystąpił natychmiast do zniesienia podstawy dawnego militaryzmu, a zarazem samowładztwa szlacheckiego: pospolitego ruszenia. Nakazał więc patentem z r. 1772 szlachcie sporządzić spis gruntów dominialnych i chłopskich oraz wszystkich ciężarów i obowiązków, wynikających ze stosunku poddańczego; na tej podstawie wymierzono „kontrybucyę.“ W dwa lata później kazano właścicielom określić dochody: na tej podstawie wymierzono podatek rustykalny. Dokumenty owe, o ile były z sobą zgodne, a chłop przeciw wyluszczonym w nich ciężarom nie wniósł skargi, stały się prawnym regulatorem obowiązków i powinności poddańczych; nowych większych ciężarów nakładać na chłopa nie było wolno. O zaprowadzeniu głębszych zmian w tych stosunkach cesarzowa Marya Teresa nie myślała.

Za to rewolucyjny jej syn, Józef II, i w tej dziedzinie zaznaczył się silnie reformatorskimi planami i czynami. Ideał ten oświeconego absolutyzmu XVIII wieku musiał się w swej walce z klerem i arystokracyą opierać na warstwach ludowych, dla których miał zresztą najlepsze chęci; czas jego panowania obfituje więc w wstrząśnienia i śmiałe zamachy na dotychczasowy porządek rzeczy. Zaraz po wstąpieniu na tron oznajmił ludom, że celem jego „znieść w całem państwie poddańcze niewolnictwo i zaprowadzić poddaństwo umiarkowane.“ Posypał się grad patentów i dekretów, które po największej części pozostają na papierze. W r. 1781 postanowił, że pańszczyzna ma wynosić trzy dni na tydzień. W r. 1782 zniósł „stosunek niewolniczy,“ dozwalając poddanym żenić się, oddawać dzieci do szkół i rzemiosł, wędrować za pracą — bez zezwolenia dziedzica, a tylko za zawiadomieniem go. W r. 1786 ustanowił dzień roboczy (w lecie 12, w zimie—8 godzin) i mnóstwo innych norm dla ochrony chłopów. Charakterystycznym jest zakaz pobierania od nich szeregu danin, nienależących się prawnie, lecz zwyczajowo; oto niektóre: pobierano *komorne* (opłata poddanego za prawo wynajmowania chałupy innemu); *solowe* — od każdej topki kupionej soli; *czopowe* — od każdej beczki kupowanego piwa czy wódki: *miarkowe* — hajdukowi pańskiemu za mierzenie zboża czynszowego dla pana: *wagowe* — poddany musiał we dworze ważyć swój tytoń i owoce; *targowe* — od każdego wozu, idącego na targ z produktami; *wyborcze* — płaciła gromada dziedzicowi za wybieranie jej wójta i t. zw. przysiężnych itd. Wszystko — to pobierała szlachta bezprawnie, ot tak na podstawie „stosunku patryarchalnego,“ jak się wyraża Kalinka. Za „ucisk,“ tj. za przekroczenie tych rozporządzeń, ustanowiono wysoką grzywnę na rzecz pokrzywdzonego *poddanego*.

Po raz pierwszy poczuła szlachta galicyjska, co to *dura lex*. Na tem nie koniec. Wkrótce przyznano poddanemu prawo wnoszenia skarg na dziedzica; sądownictwo dla włościan miało być bezpłatne, przy udziale chłopskich „plenipotentów“ (gdzie szło o sprawę całej gromady), a równocześnie odebrano dziedzicom godność „sędziów z łaski urodzenia.“ Mieli i nadal sądzić sprawy pomniejsze w pierwszej instancyi, ale na podstawie pewnego egzaminu prawniczego; kto go nie złożył, musiał opłacać mianowanego przez rząd „mandataryusza.“ Urzędników tych, tańczących między mieczami: dworem a t. zw. cyrkułem, namnożyło się też w Galicyi tysiące. Dalej nałożono na dziedziców surowy obowiązek wspomagania poddanych w czasie klęski, nieurodzaju, ciężkiego przednowku. Najważniejsze, iście rewolucyjne kroki cesarza przypadają na ostatnie lata jego życia. W r. 1785 zarządził pierwszy w Austryi pomiar katastralny oraz ocenę dochodu z gruntów; na tej podstawie (przyczem magnaci niemieccy wogóle zataili około $^{1}/_{3}$ część swych dochodów) zaprowadził w r. 1789 nową regulacyę podatkową: z każdych 100 reńskich dochodu chłopa miało iść dla niego: na gospodarstwo i byt ludzki — 70 r., $12^{2}/_{9}$ miało pobierać państwo jako podatek rustykalny, a $17^{7}/_{9}$ — dziedzic, jako wartość pańszczyzny i wszystkich poddańczych danin. Chłopi zaś, którzy mieli płacić po przeszło 2 zlr. podatku gruntowego, byli wolni od pańszczyzny i wartość jej płacili gotówką; biedniejsi mieli pańszczyznę odrabiać i nadal. Był to tak ogromny wyłom w stosunkach pańszczyźnianych, że równał się zniesieniu ich odnośnie do bardzo wielkiej części ludności. Niestety, ostatni ten patent nie wszedł nigdy w życie; stanęła mu na przeszkodzie śmierć wszechwładna, zabierając reformatora.

Jego następca, Leopold V, skasował patent poprzedni, gdyż szlachta wszystkich prowincyj austryackich przybrała postawę wprost groźną. Zaczęła się ze strony dworu austryackiego gra podwójna, która miała trwać lat pięćdziesiąt: z jednej strony liczył się z wymaganiami szlachty, z drugiej, pragnąc się opierać na ludzie, występował przeciw niej niejednokrotnie tajnymi cyrkularzami, polityka: *divide et impera!* rozwinęła się w całej ohydzie. W jednym z cyrkularzy polecił ów brat Józefa II, aby na żądanie chłopa władze przeprowadziły wykupno pańszczyzny nawet wbrew woli dziedzica. Franciszek I nawet to względne dobrodziejstwo zniósł, i dla poddanych ciężkie nastały czasy.

Państwo znajdowało się przez długi czas w wirze wojen z Napoleonem, potem nastąpiła reakcya Metternichowska. Patenta józefińskie, nawet nieskasowane, poszły w zapomnienie; po wsiach zapanowały najwstrętniejsze nadużycia. W r. 1803 pozwolono dziedzicom karać poddanych na ciele — oczywiście humanitarnie, za opinią lekarza; równocześnie „cyrkuł“ opiekował się chłopem troskliwie, o ile to było potrzebnem w celach politycznych. Gra taka kwitła bezustannie. W r. 1819 zaprowadzono w Galicyi podatek gruntowy; wykazując rządowi spisy inwentarzy i gruntów, dziedzice mnóstwo posiadłości rustykalnych powciskali w swoje. Powstało stąd zamieszanie, mnóstwo sprzeczności z pierwszemi fasyami, sporządzonemi za Józefa II; te to sprzeczności dały po zniesieniu pańszczyzny podstawę do kilkudziesięciu tysięcy procesów serwitutowych. Nędza na wsi rosła. Mnożyły się skargi włościan na panów, ale zjawiały się i inne, wymowniejsze symptomaty: od r. 1819 wybuchają bunty przeciw dziedzicom, od tego też czasu zaczynają z wzmożoną siłą szaleć bandy rozbójnicze, szczególnie w Huculszczyźnie. Rząd musiał wyznaczyć za schwytanie rozbójnika 25 złr., a całej szajki — 50 dukatów nagrody. W ten sposób uzdrawiano skutki nędzy i niedołężnej administracyi, rozwiązywano ówczesną kwestyę socyalną... Równocześnie *zniesiono* zaprowadzone przez Józefa spichlerze gromadzkie.

*) *Pańszczyzna i jej skasowanie w 1848 r.*, napysaw dr Iwan Franko. Kosztem i zachodem Towarystwa *Proświta*. Str. 135.

Duch czasu robił jednak swoje. Przeciwko pańszczyznie zaczęły się podnosić głosy ówczesnych działaczów polskich. Było to po r. 1831, w Galicyi zaroiło się od nowych, tajnych żywiołów i nowych, tajnych myśli. Działały tutaj przedewszystkiem - podług Franki: wyłącznie — pobudki polityczne, chęć pozyskania chłopa. Ruch demokratyczny wysunął kwestyę pańszczyzny na czoło dyskusyj i żądań postępowych. We Lwowie mnożyły się krwawo przez rząd austryacki ścigane organizacye, w których decydującą rolę odgrywał Smolka, Ziemiałkowski, Goszczyński; niektóre starały się nawiązać stosunki wprost ze wsią i to nietylko z dworem. Działacze polscy pisali pieśni rusińskie, w których kipiała nienawiść do Niemca, ale także do niewoli pańszczyźnianej. Rząd Metternicha objawy te dławił z całą bezwzględnością, wpływ ich atoli na opinię publiczną był widoczny. W r. 1842 rozpoczęły się w lwowskim sejmie „postulatowym,“ złożonym wyłącznie z reprezentantów szlachty i wyższego duchowieństwa, pierwsze obrady na temat: co począć z pańszczyzną? Bardzo demokratycznie i humanitarnie sejm ten usposobiony nie był — to pewna. Pierwszy zagail niejako dyskusyę hr. Krasicki w r. 1842 memoryałem, w którym proponował stopniowe uwłaszczenie włościan — za spłatę z ich strony zaintabulować się mającą w gruncie. Marszałkiem sejmu „stanowego“ był zacny Tad. Wasilewski i on sprawę tę wziął w swoje ręce. Przed następną sesyą, 18 września 1843, przedstawił posłom na poufnej naradzie projekt zniesienia pańszczyzny. „Zniesienie w naszym kraju — motywował — pańszczyzny w sposób dobrowolny oznacza przywrócenie krajowi spokoju, uczynienie niemożliwymi buntów chłopskich.“ Jeśli nie sejm — zrobi to rząd wiedeński. Ale i Wasilewski był dzieckiem kasty; żądał więc za pańszczyznę odszkodowania, a od chłopów — *wieczystego* czynszu. Okazało się, że i ten projekt dla większości szlacheckiej był za radykalny; autora zakrzyczano i zmuszono go do postawienia na posiedzeniu sejmowem z d. 22 września 1843 r. wniosku, proszącego rząd o zezwolenie na wybór komisyi, ktoraby się nad sprawą ułożenia „wygodniejszego“ stosunku między właścicielami a chłopami zastanowiła. Rząd Metternicha zezwolenia *odmówił*, zostawiając samemu sejmowi wolność postawienia w tej sprawie konkretniejszych wniosków. Sejm uchwalił ponownie wybór komisyi, zakreślając jej już szczegółowszy plan działania: miała zastanowić się nad zaprowadzeniem dla włościan ksiąg gruntowych, nadaniem chłopom użytkowej własności gruntów rustykalnych itd. — jednakowoż z wyraźnem poleceniem, aby „omijać wszelkie przedwczesne pytania,“ tj. istotę kwestyi — rozwiązanie stosunku pańszczyźnianego. Rząd zezwolił tylko na część programu tej komisyi. Opinia publiczna tymczasem znowu się ożywiła. Kierowany z Paryża ruch demokratyczny stał się gorętszy, a i między chłopstwem pojawiło się wrzenie. I oto w jesieni 1845 r. sejm na wniosek Maurycego Krasińskiego ogromną większością 116 głosów przeciw 10 uchwalił prosić monarchę o zezwolenie, aby owa komisya mogła wziąć pod rozwagę także kwestyę przemiany powinności poddańczych na daniny w ziarnie lub czynsz gotówką.

Sejm więc czysto szlachecki w zasadzie potrzebę zniesienia pańszczyzny uznał. Niestety — zapóźno. W pół roku później nastąpiła rzeź szlachty.

(D. n.)

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Miary i wagi.

Jak wiadomo już czytelnikom naszym, wydana została nowa ustawa o miarach i wagach w państwie rosyjskiem, która zachowując nadal urzędowo arszyn, funt i wiadro, dozwala zarazem używać w stosunkach handlowych kilograma, metra i litra, zaznaczając przytem wyraźnie, że miary i wagi metryczne staną się kiedyś powszechnie obowiązującemi. Obecny więc okres jest tylko przejściowy, ma on powoli przyzwyczaić ludność do zmiany ostatecznej. Pomimo całego przyzwyczajenia i szacunku dla tych starych, silnie z naszem życiem zrosłych norm, musimy przyznać, że one nie są dogodne i że prędzej czy później musimy przejść do najlepszego z systemów, dziesiętnego, który przyjęły prawie wszystkie narody cywilizowane. Metr, kilogram i litr panują dziś już na całym obszarze kultury i rzeczywiście, jako oparte na podziałach dziesiętnych, ułatwiają niezmiernie wszelką operacyę rachunkową. Ponieważ sam rząd zapowiedział na dalszy plan reform wprowadzenie systemu metrycznego, a obecnie dozwolił go używać we wszystkich stosunkach za zgodą stron, więc powinniśmy odrazu go zastosować w sprzedaży-kupnie, w obliczeniach naukowych, we wszelkich wreszcie wypadkach. Tym sposobem upodobnimy się szybko w naszych wagach i miarach do całego cywilizowanego świata. Niech kupcy, inżenierowie, budowniczowie, ludzie prywatni przyjmą metr, kilogram i litr, z miana dokona się łatwo.

Kronika kolejowa.

Zwątpiliśmy już zupełnie, ażeby nadszedł w niedalekiej przyszłości czas, któryby rozpoczął epokę jakiejś porządniejszej gospodarki na naszych kolejach w stosunku do pasażerów. Pisma warszawskie są ciągle przepełnione skargami ludzi lekceważonych bardziej, niż transportowane bydło. Na przeładowywanie wagonów już nikt się nie użala, gdyż wszelkie głosy w tym względzie odbiły się bez skutku o głuche uszy zarządów; każdy, kupując bilet, godzi się z losem, że będzie stał w korytarzu, na ganku, platformie lub w *gabinecie*. Nic ma rady! Probujemy tylko protestować przeciwko innym zwyczajom, do których publiczność nie zdążyła się jeszcze przystosować i które ją narażają na dotkliwe szkody. Tu nie przyjęto dopłaty do biletu dla przejechania innym pociągiem, tam on oddalił się bez dzwonka przed czasem i zostawił pasażerów w bufecie, te i tym podobne wypadki zbogacają dalej pełną chwały kronikę naszych dróg żelaznych. Zdaje się wszakże, iż Wilanowska dosięgła już szczytu lekceważenia i zmniejszyła wybredność względem swych bogatych towarzyszek. Bo posłuchajmy, co opowiada *Kuryer codzienny*. „Zarząd kolei Wilanowskiej pragnąc powiększyć ruch pasażerski pomiędzy Warszawą i Piasecznem, obniżył cenę biletów do 20 k., lecz jednocześnie poodprawiano maszynistów i prowadzenie pociągów powierzono ludziom nie dość umiejętnym, a nadto wszystkie lepsze maszyny przeznaczono do pociągów towarowych. Następstwem takiego rozporządzenia są ciągłe w ostatnich paru dniach wypadki i opóźnienia pociągów. Maszyny psują się w drodze i nie ma zapasowych nawet w Wilanowie. Wczoraj (4 b. m.) pod samą już Warszawą wykoleił się pociąg z powodu złego nastawienia zwrotnicy, a uderzenie było tak silne, że pasażerowie o mało nie powylatywali z wagonów. Dziś znowu rano po wyjściu pociągu z Piaseczna wagon się przewrócił, co spowodowało znaczne opóźnienie. Następnie dwa razy pociąg musiano zatrzymywać w polu, gdyż zepsuty parowóz nie mógł dobrze funkcyonować. Wreszcze gdy pociąg dojeżdżał już do stacyi, wagon się wywrócił i wszyscy pasażerowie wypadli na ziemię, na szczęście obyło się bez poważnego wypadku.“ Więcej chyba przez parę dni dokonać niepodobna. A jednak taka kolejka mogłaby być wielką wygodą dla publiczności i obfitem źródłem dochodów dla akcyonaryuszów. Gdyby tylko chciało z niej wyleźć to nasze nieszczęsne partactwo.

Czy pogłoska?

Biega po Warszawie pogłoska, która się zabłąkała nawet do pism peryodycznych, że właściciele wielkiego, budującego się hotelu Bristol wszystkie meble sprowadzają z zagranicy. Ponieważ niedawno uczynił to samo Klub Myśliwski, więc pytamy: czy u nas może się rozwinąć jakiekolwiek rzemiosło wobec takiego pomijania sił krajowych? Jeśli ktoś u nas potrzebuje łóżka lub szafy, zwraca się do stolarzów miejscowych; ale ile razy zdarzy się poważniejszy i kosztowniejszy obstalunek, zwykle otrzymuje go Wiedeń, Paryż, Berlin lub Londyn. Gdyby przynajmniej w tej wzgardzie dla robót swojskich tkwiła słuszna racya! Nie. Zwykle rozstrzyga tu śmieszna pycha. U nas bowiem można znaleźć stolarzów, którzy są prawdziwymi artystami, którzy jednak nie mogą rozwinąć i okazać swoich talentów, bo nie są zużytkowywani. Że posiadamy w rozmaitych rzemiosłach wielkie zdolności i że one nagle zjawiają się, gdy są powołane do odpowiedniej pracy, najdowodniej przekonał kościół św. Floryana na Pradze. Jest to budowla bardzo piękna, wymagająca pracowników niezwykłych, a jednakże najmisterniejsze w niej roboty wykonane zostały przez mularzów miejscowych. Gdyby do niej sprowadzono Niemców lub Francuzów, dowodzilibyśmy, że było to koniecznością, gdyż w kraju nie mamy odpowiednio uzdolnionych specyalistów. A byłoby to fałszem, bo znaleźli się, skoro ich poszukano.

Niedawno czytaliśmy w gazetach o śmiałym projekcie założenia u nas odlewni posągów i wydarcia monopolu Włochom. Trudno o zabawniejsze zestawienie: jedni myślą o stworzeniu u nas przemysłu, którego nigdy nie posiadaliśmy, a drudzy lekceważą stary, który okrył się zasłużoną chwałą; jedni chcą w kraju odlewać posągi, a drudzy z zagranicy przywożą meble hotelowe. Zgodzilibyśmy się, ażeby pierwszy z tych projektów był pogłoską, gdyby tylko był nią ostatni. Ale pocieszmy się: szach perski obstalował sobie meble w Warszawie.

Grób Gierymskiego.

W ostatnich pięciu latach nie było artykułu o malarstwie, zwłaszcza ze strony nowatorskiej, w którymby nie wspomniano o Maksie Gierymskim. W ciągu tego czasu wyrósł on na olbrzyma, na niedoścignioną doskonałość, w którą potomni mogli się wpatrywać z podziwem, ale bez nadziei dorównania mu. Zdawało się, że nietylko duch mistrza używa tej czci, ale śmiertelne jego szczątki są otoczone należytą opieką przez jego wielbicieli. Aż tu niespodziewanie L. Méyet donosi w korespondencyi z Reichenhallu do *Kuryera Warszawskiego*, że grób M. Gierymskiego znajduje się tam w zupełnem zaniedbaniu, co gorsza, że jego miejsce zakupione jest tylko na lat 25, poczem naturalnie może

być komu innemu sprzedane. Ponieważ cmentarz miejscowy nie odstępuje ziemi na własność wieczystą, więc autor korespondencyi proponuje ubezpieczenie grobu Gierymskiego nabyciem na lat 100, co kosztowałoby około 100 marek (48 rubli). Sądzimy, że suma ta, rozłożona na czcicieli wielkiego artysty, nie obciążyłaby każdego z nich większą ofiarą, niż kopiejką. Możnaby więc łatwo ją zebrać. I... należy. Bo doprawdy będzie to bardzo nieładnie, gdy wkrótce, podczas gdy dalej głosić będziemy nieśmiertelną sławę naszego znakomitego malarza, jego prochy wyrzucone będą z cmentarza, a w jego grobie spocznie jakiś reichenhalski filister, którego rodzina zabezpieczy mu wieczny w nim odpoczynek.

Wzór stylu.

Referent rubryki „Ze świata“ w *Kuryerze Warszawskim* zachwyca się barwnością stylu i czarodziejskimi obrazami z podróży dr. T. Gerstmana, dyrektora lwowskiej szkoły realnej, do Krymu i Turcyi. Opisy te były drukowane w *Gazecie Lwowskiej*, a z wyjątku, zamieszczonego w *Kuryerze*, mamy próbkę tej barwności: „Przed laty więcej niż trzydziestu osiadł w Carogrodzie krakowianin, p. Groppler i dorobił się na kopalniach milionowej fortuny, *której* najhojniej używał na wspomaganie rodaków, *których* los zagnał do Turcyi. Ci, co go osobiście znali, nie mają słów na opisanie zacności tego człowieka, *który* największe uczuwał zadowolenie, jeżeli mógł *któremuś* z Polaków dopomódz... Otoczona licznym dworem (p. Grpplerowa) bliższych i dalszych krewnych, utrzymuje dom otwarty dla każdego Polaka, *który* tu zawsze mile widzianym jest gościem. Willa jest prawdziwem muzeum kosztowności tureckich, *które* wykwintny smak właściciela umiał tu nagromadzić i stworzyć całość uroczą. Każde dziecko w Bebeku umie też wskazać dom, w *którym* mieszka „Madame Groppler,“ a *który* żartobliwie nazywa tu także „chateau de chats,“ z powodu mnóstwa pięknych kotów, *które* właścicielka willi utrzymuje.“ Cenne są perły, lecz jeszcze cenniejsze zasługi ich wyławiaczów!

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNKI DO PRAHISTORYI POLSKI.

III. Charakter pogranicza.

Przypatrując się pracom, dotyczącym naszych początków historycznych, zawsze odnoszę to samo wrażenie, mianowicie, iż ten i ów biedzi się nad zagadnieniem, które jest bardzo proste, ale wymaga dla swego rozwiązania pewnej znajomości socyologii etnograficznej. To po pierwsze; po drugie, taki rynsztunek przygotowawczy nietylko pozwala dostarczyć odpowiedzi na postawione kwestye, ale także uzdalnia do wniesienia wielu nowych i wogóle niezmiernie rozszerza widnokręgi dziejopisarza pierwotnych czasów historyi.

Pozwolimy sobie zrobić wycieczkę w tę stronę, poruszając charakter naszych granic w okresie pierwszych Piastów, oraz powody, które skłaniały naszych przodków do trzymania się pod tym względem pewnych zasad.

Podczas epoki barbarzyńskiej i nawet dzikiej, pas ziemi naturalnej, zupełnie zapuszczonej, oddziela jedno plemię od drugiego. Takie przestrzenie spotykamy u mieszkańców ziemi Ognistej, u Australczyków, tj. na najniższych znanych obecnie szczeblach rozwoju. U barbarzyńców urządzenie to występuje jeszcze z większą siłą i wyrazistością. U takich np. Czeroków, jednego z możniejszych plemion Ameryki Północnej, „niema wyraźnej umowy między nimi a ich dzikimi sąsiadami, gdzie posiadłości jednych się kończą a drugich się rozpoczynają.“ Siła ich roszczeń do pewnego określonego kawałka ziemi zmniejsza się w bezpośrednim stosunku jego odległości od osady. Stąd wypływa, że znaczne obszary gruntów pomiędzy siedzibami dwu potężnych plemion leżą puste, i chociaż obie strony roszczą do nich pretensye, przecież uchodzą one za pas neutralny i za wspólne terytoryum do polowania.“

Ten sam zwyczaj znajdujemy u barbarzyńskich Germanów z czasów Cezara. Podaje on o potężnem ówczesnem plemieniu Swewów, iż „opinia publiczna wśród tego ludu jak największą sławę znajdowała w tem, ażeby w pobliżu jego granic wszystko wzdłuż i wdal leżało pustkowiem“ i zaznacza, że z jednej strony siedzib tego możnego szczepu ciągnie się taka niezajęta przestrzeń szerokości 60,000 kroków.

Mniemamy, że przy tworzeniu się takich pasów neutralnych chodziło tam o coś więcej, niż o sławę, mianowicie istniały pewne względy praktyczne, które nakazywały każdemu plemieniu dbać o posiadanie szerokiego pogranicza, chociaż naturalnie jego rozmiary mogły i, jak niebawem zobaczymy, nawet musiały znajdować się w związku z potęgą danego ludu i pochlebiać jego dumie. Co do czynników, stwarzających takie pasy pograniczne, o tem dają nam przewyborne wyobrażenie dzieje Czech oraz naszego własnego kraju.

Granice Polski w okresie Piastów składały się z puszcz. Knieja oddzielała nas od Węgier, taka sama olbrzymia puszcza ciągnie się pomiędzy nami a Pomorzem. O ogromie tej ostatniej daje pojęcie kronika Herborda. Apostoł Pomorza, św. Otton, idzie w ciągu dni siedmiu przez „wielką knieję,“ pełną dzikiego zwierza. Pomiędzy historykami Pomorza, Giesebrechtem a Quandtem, toczyły się spory, za co należy uważać tę knieję, oddzielającą dwa pobratymcze szczepy: czy za przestrzeń nienależącą do żadnego z nich, czy też za obszar sporny. Ale którekolwiek z tych zdań jest słuszne, w obu razach rezultat będzie ten sam: obie dzielnice nie stykały się swojemi ziemiami zaludnionemi, tylko przedzielała je przestrzeń pusta, porosła lasem, przez którą już za pierwszych Piastów może prowadził szlak, idący od Kołobrzegu i służący do przewozu soli, a drugi został wycięty bezpośrednio przed wyprawą biskupa Ottona przez Krzywoustego. W lasach owych Pomorzanie, ilekroć robili wycieczkę na Polskę, znajdowali dogodne schronienie, przyczem raczej oni starali się o utrzymanie takiego pasa puszczowego w całości, bo Polacy owszem dążyli do jego uprzystępnienia, torując tam szlaki. Puszcza służyła Pomorzu jako szaniec obronny. Wreszcie takie same przestrzenie niezaludnione, pokryte przez lasy, oddzielały nas od zachodu. Wyprawa cesarza niemieckiego przeciw Polsce w r. 1029 nie powiodła się, jak oświadcza jeden z kronikarzy niemieckich, autor wspominków saskich, z tego powodu, iż wojsko zostało zmęczone pochodem przez bezdrożne knieje i puste, błotniste a niebezpieczne okolice. Knieja i w tym razie, tak samo jak dla Pomorza, służyła za szaniec obronny, tylko że teraz my z niego korzystamy przeciw większej, niż nasza, potędze. I właśnie jest to jedno ze źródeł, może najważniejsze, istnienia pasów pogranicznych, zwłaszcza jeśli w pobliżu siedział możniejszy sąsiad. Wobec tego znaczenia pogranicza ochraniano troskliwie taką knieję, czyli jak u nas ją zwą, przesiekę. Księga fundacyi klasztoru henrychowskiego na Szląsku dostarcza nam w tym względzie bardzo ciekawych szczegółów. Dowiadujemy się z tego pierwszorzędnej doniosłości zabytku dziejowego, iż książęta nie pozwalali nikomu w nią się wrębywać — rozporządzenie zupełnie zrozumiałe, jeśli zestawimy wszystkie powyżej przytoczone przez nas fakty. Następnie znajdujemy tam inną ważną wiadomość, mianowicie, iż „za dni naszych i nawet obecnie“ knieja taka otaczała Szląsk z każdej strony. To dowodziłoby, iż pojedyncze dzielnice kraju naszego były oddzielone od siebie takimi samymi pasami lasów. Przynajmniej można tego dowieść dla Mazowsza. Jeden z historyków szląskich, F. Rachfahl, w dziele niedawno wydanem, na podstawie swoich poszukiwań posuwa się nawet do twierdzenia, iż każda żupa w tej dzielnicy była odgraniczona od innych przesiekami. Takie knieje, leżące pomiędzy pojedynczemi częściami kraju, stanowiłyby pozostałość po tym okresie dziejów naszych, kiedy plemiona pojedyncze, które weszły w skład dawnej Polski, prowadziły jeszcze byt samodzielny a niezależny.

Źródła nasze wykazują więc nam znaczenie pasu pustej przestrzeni wzdłuż granicy, występującego tam w formie przesiecznej kniei. Historya Czech dostarcza nam znowu przykładu na to, jak w okresie barbarzyńskim dziejów nieobecność takiej przesieki wywołała ujemne następstwa.

Kozma czeski pod r. 1082 zamieszcza wzmiankę o wyprawie księcia Wratysława czeskiego i brata jego, Konrada morawskiego, przeciw margrafowi Luitpoldowi, przyczem robi uwagę o początku waśni pomiędzy książętami, którzy ongi byli najlepszymi przyjaciołmi. Powiada on mianowicie: „Granice obu krajów nie są przedzielone ani przez lasy i góry, ani jakąkolwiek inną przeszkodę, tylko przez rzekę Dię, która płynąc po równinie, oddziela je nawzajem. Dlatego to w porze nocnej niegodni ludzie z obu stron robią nieustające wyprawy, uprowadzają bydło, pustoszą wioski i biorą łup.“ Więc znowu szeroki pas ziemi neutralnej, albo spornej, lub wreszcie posiadanej, ale zapuszczonej pod knieję, stanowi warunek pokojowego i przyjacielskiego stosunku pomiędzy sąsiadami — okoliczność, którą współcześni umieli należycie ocenić. Zjawisko to w czasach barbarzyńskich było powszechne. Jakób Grimm z tego powodu w swoich przyczynkach do pierwotnego prawa niemieckiego czyni uwagę, iż dawniej granice szły nie wzdłuż nurtów rzeki, ale ciągnęły się grzbietami górskimi i przez knieje, do tego stopnia, iż nazwa, używana na oznaczenie granicy, mianowicie marka, zamieniła się na termin, obejmujący lasy. Są w pierwotnym okresie dziejów naszych wzmianki o rzekach jako granicach. Ale to były raczej linie, że tak powiemy, matematyczne, zaspakajające ambicyę i bynajmniej nieusuwające istnienia kniei. Ta ostatnia była i być musiała rzeczywistym i jedynie pożytecznym sposobem odgraniczania pomiędzy sąsiadami. Zwłaszcza słabsze plemię starało się o położenie takiej przegrody pomiędzy sobą a możniejszym sąsiadem, albo bardziej pokojowe tak oddzielało się od najezdniczego i wojowniczego szczepu. Jeśli więc Swewowie byli dumni z posiadania obszernego pasa pustej przestrzeni, to dlatego, że rozmiary jej świadczyły o ich potędze i potrzebie innych plemion szukania schronienia w takim szańcu ochronnym. I znowu winniśmy zaznaczyć, że taki widok spotykamy na niższych szczeblach rozwoju niemal wszędzie. Pisząc niniejszy artykuł, mam przed sobą mapę rozmieszczenia plemion w Nowej Południowej Walii oraz w Ameryce Północnej. W pierwszej rzuca się nawet bardzo jaskrawo w oczy ta okoliczność, iż rzeki tam rzadko odgraniczają jedno plemię od drugiego, tymczasem o ile ciągną się grzbiety górskie, prawie zawsze służą one za linię, przedzielającą terytoryum je-

dnego plemienia od drugiego. To samo spostrzegamy w Ameryce północnej co do rozmieszczenia rodzin lingwistycznych: idą one tam zawsze wzdłuż rzek, rozpościerając się po obu brzegach. Wszystko to świadczy, iż rzeki ludzi łączyły, nie zaś rozdzielały. Jest to rzecz zrozumiała. W owych czasach wody służyły za główną drogę komunikacyjną, nadto rybołówstwo stanowiło jedno z bardzo wpływowych źródeł pożywienia i naturalnie ludzie sadowili się wzdłuż wody. Plemiona rozchodziły się, idąc w kierunku prądu i wogóle trzymając się rzeki, szły po obu brzegach.

Korzystając z okazyi, przyjrzyjmy się jeszcze stosunkowi wzajemnemu plemion w okresach pierwotnych kultury.

Plemię dzikie i barbarzyńskie stanowi całość w sobie zupełnie zamkniętą i odosobnioną. Ochrania ono ziemię swoją od wszelkiego wtargnięcia nawet każdej pojedynczej osoby, nienależącej do jego składu. My żyjący w otoczeniu społecznem, w którem możemy podróżować po obcych krajach, przypatrywać się cudom nieswojej przyrody i korzystać z płodów cudzej cywilizacyi, nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak daleko odbiegliśmy pod tym względem od przodków naszych, którzy urodzeniem swojem byli kompletnie przymocowani do pewnego obszaru i z granic jego nie wydalali się chyba z orężem w ręku. Cywilizacya nowoczesna wcieliła w życie sporą cząstkę komunizmu międzynarodowego w postaci dróg, po których obcokrajowiec może chodzić, w formie prawa, które przysługuje mu, gdy zechce przypatrywać się np. Niagarze lub zwiedzać Tyrol. Jedynie paszporty, wymagane w niektórych państwach, przedstawiają ostatni szczątek dawnego odgraniczenia. Tymczasem w dzikości i barbarzyństwie stosunki odznaczają się innym charakterem. Terytoryum plemienne jest świętością, na której nie może postać noga obcoplemieńca, jeśli nie ma on na to wyraźnego przyzwolenia. Dopiero Europejczyk stargał tę odrębność u ludów pierwotnych, tak samo jak nie poszanował innych zwyczajów szczepów dzikich i barbarzyńskich.

Weźmy parę faktów.

Juan da Costa, podróżujący po terytoryum Weddów w r. 1639, pozostawił opowieść o formalnościach, przez jakie musiał przechodzić, zanim przedostał się przez ich ziemię. Wszedłszy na terytoryum weddaskie, został zatrzymany przez gromadę łuczników, z których jeden zadał mu pytanie, czego on tutaj szuka, dokąd pragnie się udać i w jakim celu. Musiał na pograniczu czekać dwie godziny, nim zawiadomiono o nim starostę danej dzielnicy. W towarzystwie jednego z łuczników przebył terytoryum plemienia, aż do nowej przeszkody, w odległości paru godzin od pierwszej. Tutaj znowu musiał oczekiwać odpowiedzi od naczelnika tej nowej dzielnicy. Powierzono go nowemu przewodnikowi, ten oddał go trzeciemu, trzeci czwartemu, ogółem miał dwunastu przewodników, zanim dotarł do prowincyi, do której zmierzał. Wraz z orszakiem swoim nigdy nie zaznał głodu, bo Weddowie zaopatrywali go w żywność, ale żaden z nich nie przemówił do niego ani słowa, „tak wymagają zwyczaje ich ziemi.“

U Buszmenów mamy to samo.

Wyprawa, pod kierownictwem Mackenziego, doszła do pewnego strumienia. „Nasi przewodnicy rzekli, że jest to granica ich terytoryum i że jeśli potrzebuję przewodników, to muszę nająć ich z pośród Bakhureców. Znalazłem, iż w tej okolicy obszary są ściśle podzielone pomiędzy Buszmenów i innych leśników. Mogą oni polować, szukać korzonków lub występować w charakterze przewodników tylko na własnem terytoryum, ale nie po za jego granicami. Powiedziano mi, że przejść granicę jest to samo, co narazić się na zatarg z sąsiadami. Żaden dozorca zwierzyny nie będzie surowiej przestrzegał praw swego pana, aniżeli to czynią dzicy w zakresie danej cząstki tej tak niegościnnej okolicy.“

Jak, tj. kędy ciągną się granice plemienne, o tem plemieniec zostaje powiadamiany od chwili, gdy pamięć jego i wogóle umysł poczyna działać. W Kalifornii np. kobiety uczyły malców nazw wszystkich szczytów, strumieni, źródeł, przez które przechodziła granica, wpajając im to w pamięć za pomocą odpowiedniego śpiewu, gdzie w związku z treścią wyliczano wszystkie te naturalne kopce, usypane przez przyrodę pomiędzy jednem plemieniem a innem. Kiedy zaś chłopak wyrósł, ojciec brał go na obejście całego obszaru plemiennego i tam w paru miejscach chłostał, wpajając mu jeszcze lepiej do głowy punkta wytyczne ziemi ojczystej.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

MALARSTWO.

Kałuże klasycyzmu: A. H. Schram: „Sąd Parysa,“ A. Schmidt: „Idylla,“ T. Hilser: „Syrena.“ — Salon Krywulta, czyli przyczynek do rozwoju partactwa w sztuce. — Perełki w błocie.

Słoneczne źródło klasycznego piękna dotąd wije się wstęgą złotą po niwie sztuki. Chwilami zapada się ono pod ziemię i, zda się, znika na zawsze; lecz po chwili znów gdzieś dalej wytryska żywą strugą. Czasem, jak za czasów Odrodzenia, rozlewa się w jezioro wielkie i głębokie, nad którem w zadumie stają wieki i z czcią chylą czoła, wpatrują się zachwycone w jego przeczystą, zwierciadlaną toń. Czasem znów — tworzy stawiska o powierzchni, mieniącej się wszystkiemi barwami tęczy, lecz zamulone na dnie i jakąś wonią trupią ziejące; takim był cały klasycyzm Corneliusów, Schnorrów, Kaulbachów — w Niemczech, Davidów we Francyi itd. Wreszcie gdzieniegdzie zostawia na ziemi drobne kałuże, nawet nie zapleśniałe i zielenią pleśni nieożywione, lecz cuchnące, brudne, martwe. I tylko czasem, jak dotąd bodaj że raz jedyny, wytryśnie w potężny gejzer, żywiołową potęgą piękny, wewnętrznym ogniem płonący, bardzo wielki i bardzo samotny. Takim gejzerem jest Böcklin. A kałuże? W nich maczają swe pendzle Schram, Schmidt, Hilser i cały tłum im podobnych dostawców tandety na rynki sztuki sprzedażnej. Wzięli oni z całego klasycyzmu tylko trochę nimf, satyrów i najpopularniejszych bohaterów mitologii i z tego lichego materyału lepią niezliczone mnóstwo niby klasycznych scen i obrazów.

Przyjrzyjmy się im nieco bliżej. Na „wielkiem“ płótnie, którego brud wyłazi aż na farby, siedzi manekinowa imitacya Parysa z „Pięknej Heleny,“ z głupkowatym uśmiechem na twarzy i ze zgniłem jabłkiem w ręku; obok, niewiadomo z jakiego materyału zrobiony, Merkury szepcze mu coś do ucha. Przed tą grupą—oczywiście trzy boginie: papierowa, różowa Wenus, stojąc, jak i inne, na obłoku z waty, zalotnie uśmiecha się do niemrawego młodziana, dalej skończona kokietka Minerwa, Pallas Atene, bogini mądrości, przechyla okrytą potężnym złotym hełmem główkę (?) i przegina pierś, ubraną w zielonawy, drewniany pancerz tuniki: wreszcie Junona odsłania przed nim swoje dawno niemyte ciało, wobec którego aż paw chroni się z tyłu, by nie rumienić się za królowę bogiń. Tło — zielonkawe niebo, zielone zarośla i obłoki. Obraz cały starannie wygładzony, dla uniknięcia wszelkich chropowatości, zdaje się bez wstrętu dla farb olejnych wylizany, wysuszony i wreszcie, jak mówi jedna z bohaterek Reymonta, „na glanc“ wywerniksowany. A widzowi, gdy na to wszystko patrzy, rozmarza się dusza i płyną doń z dala ciche a znajome dźwięki: „W lasku Idy trzy boginie...“ Ma to być „Sąd Parysa“ — *fecit* A. H. Schram.

Naprzeciw — żółto-szaro-zielona „Idylla“ (A. Schmidt), na którą odrzucają czerwonawe światła purpurowy nos i rubinowe policzki niby Satyra oraz rude włosy szkaradnej nimfy.

Prawem kontrastu — obok rozsiadła się przy rzeczywiście martwem ciele śmierć w postaci starej baby o wystraszonych oczach, jak gdyby przerażona własnym swym czynem („Śmierć“ A. Leukota).

Żeby doprowadzić tragizm do końca, wystarczy, gdy popatrzymy na oblaną fosforycznem światłem syrenę, zapatrzoną w ciało topielca („Syrena“ T. Hilsera); o niej tylko to da się powiedzieć, że jest rzeczywiście w swej Hilserowskiej manierze (ob. „Sardanapal“ tegoż mistrza) tragiczna. A wszystko to, jak „Sąd Parysa“ wychuchane, wygładzone i „na glanc“ wypolerowane.

Nie pojmujemy celu sprowadzania podobnych bohomazów aż z zagranicy. Jeśli p. Krywult chce zapoznać publiczność naszą ze sztuką europejską, niech nam wystawia dzieła mistrzów lub przynajmniej artystów, cokolwiek z tą sztuką wspólnego mających; tandety mamy dosyć i u nas. Czy doprawdy byłoby tak trudno sprowadzić choć coskolwiek Boecklina, Stucka, Klingera, Carriere'a lub Begasa? Przecież p. Krywult już dowiódł, że niema w tem nic niemożliwego: widzieliśmy kiedyś u niego Makarta, stosunkowo niedawno kartony Schneidera i „Dyanę na łowach“ Boecklina, a i swojska nasza sztuka bywała niegdyś godnie u niego reprezentowana. Lecz są to widocznie tylko *lucida intervalla* popularyzatorsko-artystycznej działalności p. Krywulta; niestety, za szybko po nich następują zazwyczaj długie chwile, w których rządzi miłość dla wielołokciowej tandety. Taki brak ściśle wytkniętego celu i jakiejkolwiek zasady w gromadzeniu dzieł sztuki, taki brak zmysłu krytycznego, a może i znajomości sztuki współczesnej wytwarza tylko zmieszanie pojęć wśród naszej artystycznie nie bardzo wykształconej publiczności. Takie stawianie obok siebie z jednej strony Böcklina, Schneidera, z drugiej Schrama, Schmidta i innych, zawieszanie próżnych ścian uczniowskiemi malowidłami miejscowego wyrobu nie przyczynia się bynajmniej do rozwoju zmysłu estetycznego i poczucia piękna śród widzów, lecz natomiast sprzyja bardzo rozwielmożnieniu się partactwa w sztuce naszej. Od „Salonu spółki artystycznej,“ tego kramika podrabianej sztuki, niczego już wymagać nie możemy, salon „Zachęty,“ niestety, już dawno zyskał sobie sławę zniechęcania artystów i publiczności do sztuki; jedynie Salon Krywulta jako przedsiębiorstwo prywatne i w jednych rękach pozostające, mógłby łatwo pełnić rolę pośrednika między sztuką a ogółem; zdaje się, że nawet ze względów materyalnych nie byłoby to zbyt trudnem. Worto, aby p. Krywult pomyślał o tem, jak również o zasadzie „noblesse oblige.“

Lecz wróćmy do wystawy. Śród tłumu lichot zagranicznych i krajowych jest parę rzeczy, które, jeśli nie należą do brylantów pierwszej wody, to są wszakże drobnemi perełkami sztuki. Są to studya Wyczółkowskiego. Być może, „Studyum kobiety“ jest nieco brudno w kolorze, być może „Zasłuchana“ i „W lesie“ (tu i tam ten sam model) są trochę za twarde i przekolorowane, być może „Fragment“ jest zbyt szkicowo traktowany, lecz wszystko

to są prace, tchnące szczerem, niepodrabianem życiem, pełne wyrazu, temperamentu i siły. Szkoda, że tych prac nie skupiono w jednem miejscu, lecz rozrzucono po wszystkich salach, tak że giną w natłoku różnych „robót" i „robótek."

I wreszcie gdzieś, w jednym z najciemniejszych zakątków Salonu, zatrzymuje wzrok niewielki obrazek, widocznie z lekceważeniem dla artysty zawieszony, bo pozbawiony nawet objaśniającej kartki, na którym z trudnością odcyfrować można nieznane nazwisko: Szybalski: to — wnętrze lasu w słońcu. Jest w tym drobiazgu stokroć więcej poczucia natury i zdolności podpatrywania jej tajemnic, niż we wszystkich razem płótnach reklamowanych przez p. Krywulta zagranicznych mistrzów.

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

LITERATURA ROSYJSKA. „Pomoszcz gołodnym" (288 str.). Jest to zbiór tłomaczeń nowel 29 autorów polskich, dokonany przez M. Diedowa. Dochód przeznaczony dla głodnych w Cesarstwie.

POWIEŚCI. E. de Amicis: „Dziennik ucznia." książka dla młodzieży. przeł. J. Nestorowicz (291 str. — 60 kop.). Łódź, Fiszer.

ROLNICTWO. W. Święcicki: „Rozkład ciał organicznych w roli, mierzwie i paszy," streszczenie pracy Wollnego (114 str. — 60 kop.). Nakład *Roln. i Hodow.*—J. Lambl: „Dochód z ziemi," przyczynek do reformy błędnych zasad organizacyi, rachunkowości i taksacyi dochodu, tłom. S. Jankowski (164 str. — 1 rb.). Nakład *Roln. i Hod.*

INŻENIERYA. E. Sokal. „Budowa kanałów ulicznych," poradnik dla techników, dozorców robót i robotników kanalizacyjnych (83 str.—1 rb.). Książka cenna nietylko ze względu na gruntowność, ale także wielką jasność wykładu.

HYGIENA. Dr. W. Dobrzyński: „Kilka słów w kwestyi oczyszczania i zraszania ulic oraz usuwania odpadków miejskich" (28 str.)

SZTUKA. „Album sztuki polskiej," wystawa retrospektywna w Warszawie 1898 r., opracował K. Piątkowski, zeszyty 3 i 4.

„Monografia ilustrowana kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem," z. 1., nakład księgarni J. Zaleskiego.

POEZYE

LAS UMIERAJĄCY.

Zatargał tobą wicher, o szumiący lesie!
Wicher z gwiazdą piorunną w rozpętanej grzywie.
Potrzaskał świerkom czoła, rozsypał igliwie —
A ty stoisz radosny, o szumiący lesie?

Tam za ścianą jodłową, tam za murem pnączy
Dobre duchy się śmieją całym czarem wiosny.
Na żleby tęcza siadła. Przez mgły świt się sączy.
A w tobie noc śmiertelna. Czemuś tak radosny?

Patrzę się na ten potok bez ścian, bez łożyska,
Bez początku... Skąd płynie? Nie płynie... przesiąka.
Podmywa twoje serce... tu znikł... tam połyska...
Oczy Śmierci!.. Owinął cię siecią pająka...

Oczy Śmierci!.. Ten strumień, te strzaskane skały,
Te wertepy wężowisk, te dzikie wykroty,
Te skręcone gałęzie, ten mech pordzewiały —
To Śmierć w całym przepychu grozy i pozłoty!

Słucham szmeru, co drzewa u stropu zawiodły.
U dołu pnie umarłe. Jodły chylą głowy...
Jodły modlą się słońcu!.. Płacz... To płaczą jodły.
O jaka głucha pustka! jaki chłód grobowy!..

Ten wijący się strumień... Kto wie, co z tą strugą
Płynie... O dziki lesie, rozśpiewany lesie!
Tak radosny, choć konasz tak długo, tak długo,
Taki wielki, choć giniesz w krzesanie bezkresie...

Patrzę na ciebie oto, kiedy się otulasz
Zadumaniem. Tak chyba konają olbrzymi...
Nad tobą świt się pali... Góra mgłami dymi —
Bucha dym. To trybularz! O, jaki trybularz!..

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

CHOROBLIWE STOSUNKI.

Zjawisko przez nas poruszone — lichwa w gorzelnictwie, odbiło się pewnem echem w prasie. Między innymi p. Napiórkowski zamieścił w *Wieku* bardzo ważny wniosek. Przedewszystkiem autor kładzie nacisk na nienormalne stosunki handlowe, jako przyczynę złego. Spekulacya — a raczej jej reżyserya—skorzystała z początkowych niedomagań Towarzystw gorzelniczych, warszawskiego i mińskiego i zręcznie wszczepiła w zarządy przekonanie, że nie sprzedaż okowity (do czego Towarzystwa były powołane), lecz kupno da dywidendę. Ponieważ, jak dowodzono zarządy z właścicieli ziemskich złożone, nie znają się na handlu, więc podsunięto im „specyalistów." Wytworzył się stosunek dziwny, w swoim rodzaju jedyny i jak słusznie zaznacza p. N., chyba tylko u nas możebny: Towarzystwa, założone za pieniądze gorzelników i *wyłącznie* dla obrony ich interesów przed wyzyskiem spekulacyi, faktycznie były przez nią kierowane i obsługiwane przez nasłanych im agentów. „Demoralizacya i wpływ reżysera, dziś już milionera, zaszły tak daleko, że Towarzystwa zobowiązały się wcale nie nabywać spirytusu w pewnych guberniach kraju tutejszego i zachodniego, obarczonych głównie nadprodukcyą." W ten sposób wydały mu znaczną grupę gorzelni na łup, a otrzymały w zamian niektóre miejscowości dla swej wyłącznej eksploatacyi. W tych warunkach powstały skromne dywidendy, co tem bardziej obałamuciło wiele umysłów, niezbyt wtajemniczonych i niemających pojęcia o tem, z jakich źródeł i jakiemi ofiarami zdobyto owe dywidendy. „Zarządy, zabezpieczone od powierzchownych, nierzadko, napaści, zamykają oczy na to, że tysiące dywidendy napędzają krocie spekulantom, że Towarzystwa są biernemi narzędziami dla wyzysku gorzelni, zamiast, jak było ich pierwotnem założeniem, bronić przed nim, stać na straży interesów."

Pan Napiórkowski, dokładnie obeznany z tymi stosunkami, utrzymuje, że największa w tem wina jest po stronie gorzelników. Towarzystwo warszawskie przy nowych kierownikach zrozumiało nareszcie ową grę, w którą je wciągnięto i dziś już zrywa podobne te nienormalne i szkodliwe stosunki. P. Napiórkowski twierdzi, że gdy one zostanie wyłącznie Towarzystwem oczyszczania i sprzedaży spirytusu, tj. obejmie zakres zadań, pierwotnie oznaczonych, pilnować będzie interesów gorzelników, broniąc ich przed handlowym wyzyskiem, a za swe usługi ustanowi słuszną normę wynagrodzenia — wtedy wszyscy powinni się przy niem złączyć, „bo w tem będzie siła i wspólna niezaprzeczona korzyść." Zgrupowanie to można byłoby uskutecznić nawet na zasadach syndykatowych, przez odliczanie z czystego dochodu działu wywozowego 5—6% od kapitału obrotowego w tym dziale. Z renty trzeba pewien procent wyznaczyć zarządowi, pozostałość zaś wydać gorzelniom, w stosunku ich udziału handlowego. Nie ulega wątpliwości, iż w ten sposób ogólna dywidenda Towarzystwa będzie wyższą, dotąd bowiem na nią składał się głównie dochód z rektyfikacyi.

W guberniach północno-zachodnich uregulowanie handlu okowitą jest potrzebą również bardzo pilną, gdyż tam nadprodukcya i spekulacya wytworzyły poprostu klęskę ekonomiczną. Pan Napiórkowski twierdzi, że dopóki nie będzie tam zneutralizowany potężny wpływ kierownika spekulacyi, niepodobna marzyć o normalnych stosunkach handlowych. O ile tedy Towarzystwo mińskie nie zmieni kierunku i nie wyzwoli się z pod dyktatury spekulanta, należy albo warszawskiemu Towarzystwu oczyszczania spirytusu otworzyć w Wilnie agenturę do przyjmowania okowity na sprzedaż komisową. albo też wytwórcy okręgu tamtejszego powinni zawiązać własne Towarzystwo na zasadach syndykalnych, lub chociażby stworzyć dział specyalny zbytu okowity przy którymkolwiek z ruchliwszych syndykatów tamtejszych.

Po za tem wszystkiem pozostaje jeszcze niezmiernie ważny stosunek wzajemny wytwórców i skarbu na gruncie monopolowym. Przyjęcie zasady nabywania znacznej części, a w miejscach małej produkcyi — niemal całkowitej ilości okowity, potrzebnej dla monopolu (w drodze licytacyi) otworzyło szerokie pole dla spekulantów. Duże licytacye z nieograniczonym udziałem stały się dziedziną łatwych zysków, po które z różnych stron Cesarstwa przybywają aferzyści i nie mając nieraz wcale jeszcze nabytej okowity, biorą po parę, a nawet i dziesięć tysięcy rubli odstępnego i usuwają się zupełnie. P. Napiórkowski zapewnia, iż na niektórych licytacyach ogólna suma odstępnego wynosiła przeszło *sześćdziesiąt tysięcy* rubli!

Również chorobliwe są stosunki w miejscach nadprodukcyi okowity, gdzie, według przepisów prawnych, do licytacyi stanąć mogą tylko wytwórcy. Ograniczenie to spekulanci zdołali zręcznie wyzyskać na swą korzyść: mianowicie przy nabyciu okowity biorą od wytwórcy plenipotencyę do sprzedaży jego spirytusu skarbowi na licytacyi i dzięki temu korzystają jeszcze z ulgi: nie wnoszą żadnych kaucyj ani przy licytacyi, ani przy dostawie okowity. Tak więc wytwórcy złożyli tym sposobem dowód niezrozumienia własnego interesu, a nadto, mimowoli wyrządzają krzywdę innym producentom. „Pełnomocnicy" tacy mnożą się coraz bardziej i jest ich pełno na wszystkich licytacyach w guberniach zachodnich. P. Napiórkowski opowiada, iż w początkach tych operacyj, pewien taki aferzysta, mając tym sposobem nabyty tylko jeden wagon spirytusu, objeżdżał licytacye i od dobrodusznych wyłudzał wstępne (w pewnem miejscu dostał 100 rubli, licytacya zaś została bez skutku), grożąc sprzedażą za bezcen, bo ma „tanią" okowitę. Obecnie już wyrósł na siłacza; niemal na każdej licytacyi ofiaruje i sprzedaje „z plenipotencyi" dziesiątki wagonów własnej okowity.

Takie chorobliwe stosunki może usunąć ministeryum skarbu, do którego p. Napiórkowski przesłał odpowiedni memoryał, dowodząc cyframi korzyści dla skarbu i wytwórców ze stosowania licytacyi i nabywania całej ilości okowity, potrzebnej dla monopolu, bezpośrednio od wytwórców. Tym sposobem mogliby oni otrzymywać pewne zaliczenia.

Oto są wnioski memoryału p. Napiórkowskiego:

a) W każdym rejonie wszystką okowitę na miejscowe potrzeby monopolu skarb bierze z gorzelni podług rozkładu i po cenie ustanowionej, dla miejscowości zaś, gdzie jej brak, na zasadzie dodatkowego

rozkładu w rejonach jej nadprodukcyi, po cenie przeciętnej w całem państwie i nigdzie nie wyższej od cen miejscowych.

b) Gorzelnie dostawiają okowitę do najbliższych składów skarbowych, jak obecnie, za opłatą przewozu, a do najbliższych stacyj kolejowych bez tej opłaty, w ostatnim wszakże razie przyjęcie okowity — w gorzelni.

c) Przy zawarciu umów, w jesieni, skarb wydaje gorzelniom za zakontraktowaną okowitę zaliczki 20—25 k. na wiadro 40^0.

d) W razie niezgodzenia się wytwórców na cenę skarbową, naznacza się licytacya, z dopuszczeniem wyłącznie pośredników lub ich oficyalistów, przyczem z plenipotencyi od innych gorzelni mogą stawać jedynie producenci od pewnej określonej liczby lub do oznaczonej ilości wiader.

„Przewodnią myślą owego projektu — mówi p. N. — było to, że tak olbrzymie z natury swej przedsiębiorstwo handlowe, jak monopol okowiciany, nie da się wtłoczyć w formułki biurokratyczne, bez szkody dla interesu i stron. Istotnie, przy obecnym systemie, gorzelnie zmuszone są wozić okowitę kontyngensową nieraz setki wiorst końmi, często przez stacye kolejowe, męcząc przytem inwentarz i opuszczając gospodarstwo, skarb zaś znów najczęściej płaci podwójnie za przewóz, bo od surówki i następnie rektyfikatów; w rezultacie zaś, gdy wiele gorzelni zupełnie odmawia się od dostawy, wobec trudnego przewozu, skarb znacznie drożej nabywa na licytacyach rektyfikat od spekulantów, niżby w normalnych warunkach kosztowała surówka z dystylacyą, jak to i w tych czasach u nas nawet się zdarzało, przy dostatecznym zapasie surowej okowity. Spekulant w tych razach nie wiele liczy się i z odległością, gdy ma tanią surówkę i wszelkie koszty z ogromnym jeszcze zyskiem pokryje. Natomiast, gdyby skarb dysponował całą potrzebną mu ilością okowity i brał ją bezpośrednio z gorzelni, do miejscowych rektyfikacyj dostawiałby tylko najbliższe z nich, resztę zaś polecałby przewozić kolejami, w cysternach, dokąd zachodziłaby tego potrzeba. Oszczędności stąd na przewozie, w ogólnym rezultacie, wypadają tak poważne, że gdyby skarb za wszystką okowitę na miejscowe potrzeby u nas i w kraju zachodnim, oraz za wywożoną, czyli z dodatkowego rozkładu, zapłacił minionej kampanii około 58 kop. za wiadro 40^0, miałby jeszcze znaczną ekonomię, a gorzelnie nietylko nie byłyby wyzyskiwane przez spekulantów, lecz nie niszczyłyby inwentarzy i nie odrywały ich często w czasie najpilniejszych robót."

Teraz właśnie najodpowiedniejsza jest chwila do uregulowania tej sprawy. Warto więc, ażeby ogół wytwórców za pośrednictwem swych organizacyi (sekcyi rolnej i Towarzystw rolniczych) usilnie poparł wnioski powyższe. W razie uregulowania w ten sposób handlu wewnętrznego, Towarzystwa gorzelnicze powinny rozwinąć całą swoją energię w zakresie handlu wywozowego.

Zen. Piet.

ZŁOTO.

I.

Złoto, żółte i świecące, kosztowne złoto!
Toć odrobina jego zdolna zmienić czarne na białe,
Szpetne na ozdobne, złe na dobre, podłe na szlachetne,
Starość na młodość, tchórza na rycerza. Na co to bogi?!
Ono zdolne odciągnąć kapłanów waszych od waszych ołtarzy,
Wyrwać poduszkę z pod głów zdrowych ludzi. Ten żółty niewolnik
Wiąże i zrywa ludzkie przysięgi, uświęca przeklętych,
Każe ubóstwiać ohydną trędowatość, złodziejom daje godność
I pokłony, na senatorskiej ławie ich osadza: płaczącą wdowę
W nowe stadło wiedzie... Przeklęty prochu, świata
Wszetecznico, ziarno niezgody między narodami.

(Shakespeare. „Tymon Ateńczyk").

Nie tak energicznie, jak wielki mistrz dramatu, lecz za to bardzo rozwlekle perorowali do niedawna przeciwko żółtemu kruszcowi znachorzy ekonomiczni, bimetaliści: gdyby im dać wiarę, prawie wszelkie niedomagania społeczeństwa nowożytnego stąd pochodzą, że owa „świata wszetecznica" nadto się rozpanoszyła, a zbawić trzeba ludzkość przez przywrócenie wartości metalowi białemu.

Obecnie wrzawa ta przycichła i nawet w Ameryce przy nadchodzących wyborach nie będzie prawdopodobnie odgrywała roli agitacya za srebrem. Przyczyna tego bardzo prosta: znachorzy społeczno-ekonomiczni znajdują posłuch w czasie przygnębienia ekonomicznego, które od lat trzech na rynku wszechświatowym ustąpiło ożywieniu, a nawet przebywamy chwilowo epokę tak świetną, jakich nie bywało. Towary znajdują odbyt łatwy, ceny wzrastają, pieniędzy na rynku jest nadmiar, kursa akcyj podnoszą się prawie bez przerwy; optymizm panuje na rynku i giełdzie. W takiej porze nikt nie słucha pesymistycznych wywodów: nie dba o leki. Wściekły „steple chase" zakończy się złamaniem karków, a wtedy być może nowe broszurki o jedynem zbawieniu w srebrze zalewać będą literaturę ekonomiczną. Fakt, że rozkwit ekonomiczny nastąpił bez kuracyi bimetalistycznej, pójdzie w zapomnienie z chwilą, kiedy dywidendy zaczną spadać, pieniądze zmikną z obiegu. Masy mają krótką pamięć wogóle, a najkrótszą pono w kwestyach społeczno-ekonomicznych.

Obecnie nie mamy zamiaru kruszyć kopij przeciwko bimetalizmowi, chcemy tylko zwrócić uwagę czytelników na niezmiernie ciekawe zjawisko ekonomiczne, na przewrót, jaki zachodzi w produkcyi złota.

Jednem z twierdzeń, któremi bimetaliści straszą łatwowiernych, jest to, że złoto nie może starczyć na potrzeby rynku pieniężnego, że jest go zbyt mało. Ks. Bismarck, który miał osobny dar kucia frazesów, imponujących swoją prostotą filistrom, powiedział kiedyś: „złota kołdra, którą mają się okryć wszystkie państwa, jest za krótką, każdy szarpie ją ku sobie." Znalazł się też zaraz uczony geolog, który dowiódł niezbicie, że sama przyroda każe człowiekowi być bimetalistą, bo złota dała mu zbyt mało. Geologiem tym jest E. Suess z Wiednia, a teoryę swoją wyłożył w dziele „Die Zukunft des Goldes" (Wiedeń, 1877). Wywody jego można streścić w formie następującej: Fakt, że ciężar gatunkowy kuli ziemskiej jest większy od przeciętnego ciężaru gatunkowego pokładów, tworzących jej powierzchnię, świadczy, że metale ciężkie skoncentrowały się w jądrze naszej planety, co też zgadza się z najbardziej uzasadnioną hipotezą o jej powstaniu. Być więc może, że w jądrze ziemi znajdują się olbrzymie masy złota, ale te oczywiście pozostaną niedostępne na zawsze. „Na powierzchni jej — powiada geolog — złoto byłoby niezmierną rzadkością, gdyby nie przedostawało się, w formie prawdopodobnie gorącej pary, do szczelin skorupy ziemskiej, gdzie osadza się w połączeniu z innymi minerałami. W tych to szczelinach może trafić się złoto w żyłach. Jednakże połączenie mineralne, a zwłaszcza siarczany, ulegają rozkładowi, skały wietrzeją i w ten sposób na stokach gór oraz w głębi dolin rzecznych powstają pokłady gruzu i mułu, zawierające złoto owych żył w postaci łatwo dostępnej. Cyfry pouczają, iż bogactwo tego rodzaju łożysk dostarcza tak znaczną część ogólnej produkcyi złota, że ich wydajność jest miarą dla oceny ekonomicznego znaczenia złota" (str. 355). Zdaniem Suessa: „90% złota, będącego w posiadaniu człowieka, pochodzi z pól złotonośnych, a tylko 10% z eksploatacyi kopalń." Ponieważ zaś od pradawnych czasów ludzie szukają owych pól bardzo skrzętnie, a odkryte—zostają wnet wyczerpane, nasuwa się bardzo prosty wniosek, że na przyszłość już nie możemy marzyć o obfitości złota, chyba że w niezbadanych dotąd głębinach Afryki i Australii znajdą się bogate piaski. Po za tem bowiem możemy już liczyć tylko na eksploatacyę kopalń, a te z natury rzeczy są mało wydajne i wcześniej czy później będą wyzyskane.

Teorya, jak widzimy, bardzo jasna i przekonywająca, lecz fakty kłam jej zadały. Już wtedy, kiedy Seess pisał swoje dzieło, przypuszczenie, że 90% złota pochodzi z pól aluwialnych, z rozsypisk złotonośnych, było bardzo ryzykownem; już wtedy kopalnie, w których wydobywa się ów kruszec ze skał kwarcowych, dawały daleko wyższy procent ogólnej produkcyi: od tego czasu zaś, jak zobaczymy niebawem, stosunki zmieniły się i dziś można twierdzić śmiało, że nie wydajność pól aluwialnych stanowi o produkcyi, lecz wydajność kopalń. Jednakże, gdyby nawet teorya geologiczna była słuszną, to na pewno błędne są wywody z niej. Z teoryi wynika tyle tylko, że złoto jest i pozostanie minerałem rzadko znajdowanym, lecz nie więcej; o tem, ile faktycznie produkować go będziemy w przyszłości, na tej zasadzie orzec nie można. Ekonomiście zaś chodzi tylko o to: czy w najbliższej przyszłości możemy liczyć na pokrycie potrzeb, jakie stawiają mennice, oraz jakie są koszty produkcyi kruszcu? Czy złota starczy na tysiącolecia, czy nie, to jest kwestyą dla nas zupełnie obojętną, gdyż nie wiemy, czy będzie ono odgrywało rolę ekonomiczną, jaką odgrywa dziś, chociażby za lat sto. Chodzi o społeczne, nie zaś geologiczne warunki produkcyi.

Uczony niemiecki, Saetbeer, podjął się ogromnej pracy obliczenia w przybliżeniu produkcyi złota od czasu odkrycia Ameryki do 1875 r. Posługując się jego cyframi, oraz temi, jakie podają sprawozdania roczne dyrektora mennicy Stanów Zjednoczonych, uznane za najdokładniejsze, otrzymamy tablicę następującą:

w okresie:	wyprodukowano złota w kilogramach:	rocznie przeciętnie w kilogramach:
1493—1560	462,700	6,700
1561—1600	284,400	7,110
1601—1700	902,300	9,023
1701—1800	1,990,100	19,001
1801—1850	1,184,900	23,698
1851—1875	4,775.600	191,000
1875—1885	1,616,700	161,670
1885—1895	2,076,000	207,600

Widzimy, że ilość zdobywanego złota wzrasta stale do r. 1850. Najpierw napływają skarby pochodzące z łupu dokonanego przez zdobywców hiszpańskich na tubylcach Ameryki; później, kiedy sposobności do grabieży zabrakło, poczęto przemywać piaski złotonośne w Nowej Grenadzie, Peru, Chili. W wieku XVIII wzrasta produkcya wskutek ogromnej wydajności Brazylii. W pierwszej połowie XIX złotonośne jej piaski zostają prawie wyczerpane, Brazylia dostarcza zaledwie siódmą część tej ilości, jaką dawała około r. 1760, lecz za to wzrasta produkcya złota w Syberyi: od r. 1801 do 1810 Rosya dobywa zaledwie 165 kilogramów rocznie, od 1841 do 1850 zaś 22,515 kilogr. rocznie. W dwudziestopięcioleciu od 1850 do 1875 następuje bajeczny skok: wzrasta wydajność Syberyi do 33 (? *Red.*) kilogramów rocznie, lecz przedewszystkiem zostają odkryte ogromne skarby Kalifornii i Australii. Jednakże w okresie tym zachodzi znamienne zjawisko: produkcya zmniejsza się! Od r. 1855 do 1860 dobyto 206,101 kilogramów, w następnem pięcioleciu tylko 185,100, a od r. 1871 do 1875 tylko 170,700. Ten spadek trwał również w następnem dziesięciole-

ciu. Stąd pesymizm Suessa i innych. Rzeczywiście obfite w złoto piaski kalifornijskie dostarczały coraz mniej kruszcu. Jednakże następne dziesięciolecie wykazuje inny obraz: produkcya wzrasta do nigdy niebywałych rozmiarów: w ciągu lat dziesięciu dobyto złota rocznie więcej, niż za najświetniejszych lat gorączki kalifornijskiej. Znamiennym zaś jest faktem to, że w tym czasie nie znaleziono żadnych pól złotonośnych, lecz poczęto eksploatować rozumnie dotąd znane i rozpoczęto wyzyskiwanie kopalń w Afryce południowej, w Rodezyi i Transwalu, oraz w Australii. Kopalnie te dostarczają dziś co najmniej 1/3 ogólnej masy złota, a co do przyszłości, specyalista górnik, B. Krochanenhauer, wydał taką opinię: „Wszyscy fachowcy, którzy znają położenie rzeczy w Kalifornii, Australii i Afryce południowej, zgadzają się na to, że złoto w Afryce południowej znajduje się w takich ilościach, iż produkcya dziś jest śmiesznie małą w porównaniu z tem, co produkowane być może. Obfitość złota w Ameryce południowej zabezpieczoną jest na długie lata." *(Die Goldfelder im Transvaal).* To było pisane w roku 1890. W tym czasie Transwal dobywał złota około 18,700 kilogramów, w roku zaś 1897 — przeszło 100,000 klg.; kopalnie Natalu dostarczałyły w r. 1890 — 15,288 kilogramów, w r. 1897 — 94,368 klg.

Dr. J. B. Marchlewski.

W DALI.

Ciechanów. Zatwierdzone Towarzystwo wzajemnego kredytu w Ciechanowie (gub. Płockiej) zebrało odpowiednią ilość podpisów i wkrótce rozpocznie już swą działalność. Oto główniejsze przepisy tej instytucyi: Ma ona na celu dostarczenie kredytu swym członkom, bez różnicy płci i zawodu, przeważnie jednak zajmującym się handlem, przemysłem i rolnictwem. Członkowie tej instytucyi nie mogą być jednocześnie członkami innego Towarzystwa wzajemnego kredytu. Odpowiedzialność członka za straty nie przekracza wysokości udzielonego mu kredytu. Każdy członek, przy wstąpieniu do Towarzystwa, obowiązany jest wnieść do kasy Towarzystwa gotówką 10% od sumy udzielonego mu kredytu. W celu wszakże powiększenia kapitału obrotowego ogólne zebranie, gdyby to się okazało potrzebnem, może powiększyć rozmiar ustanowionych wkładów z 10% do 20% od sumy kredytu. Najmniejszy rozmiar dozwolonego dla pojedynczej osoby kredytu określono na sto rubli; największy zależy od uznania rady Towarzystwa, nie może wszakże przewyższyć 50 razy wziętej najniższej normy kredytowej (tj. 5 tysięcy rb.). Tow. rozpoczyna swą działalność dopiero po pozyskaniu niemniej, niż 60 członków i zebraniu kapitału obrotowego z wkładów członkowskich najmniej 10,000 rb. Przyjmowanie członków odbywa się na zasadach zwykłych w towarzystwach kredytowych tego typu. Jest wszakże następujące zastrzeżenie: „Działalność Towarzystwa nie rozciąga się na grunty włościańskie, podpadające pod działanie Ukazu z d. 3 marca 1864 r., albo nabyte przy pomocy pożyczek z Banku włościańskiego." Operacye Towarzystwa będą zwykle: dyskonto weksli, pożyczki krótkoterminowe (maximum 6 miesięcy) i pożyczki na zastaw papierów wartościowych, towarów, warantów, klejnotów itp., lombardowanie papierów itd. Sprawami Towarzystwa kierować będą: a) ogólne zebranie, b) rada, c) zarząd i d) komisya kwalifikacyjna. Paragraf 85 opiewa: „Wszystkie wogóle stosunki Towarzystwa ciechanowskiego i jego pełnomocników z instytucyami rządowemi i osobami pojedynczemi powinny się odbywać w języku rosyjskim: Na wszelkie pytania, prośby i żądania, zarówno piśmienne, jak ustne, pochodzące od innych towarzystw prywatnych albo osób i wyrażone w języku rosyjskim, Towarzystwo ciechanowskie powinno odpowiadać również po rosyjsku. Wszystkie wewnętrzne manipulacye Towarzystwa, nie wyłączając protokółów i dzienników posiedzeń, rachunkowość i sprawozdanie powinny być prowadzone tylko w języku rosyjskim. Przytem wspomniany warunek, o ile on dotyczy rachunkowości i sprawozdań, ogranicza się prowadzeniem po rosyjsku ksiąg buchhalteryjnych i sprawozdań, zestawiających ich dane, podawanie zaś danych sprawozdawczych do wiadomości ogólnej dozwolone jest w tłomaczeniu na język polski, z tym wszakże warunkiem, żeby przekład polski był drukowany równolegle z tekstem rosyjskim."

Humań. Władzom właściwym złożono do zatwierdzenia projekt ustawy „Humańskiego Towarzystwa hodowli koni." Założycielami są: hr. Murawjew, pp. Polkowicz, Łoziński i Podgórski. Towarzystwo ma na celu popieranie hodowli koni w gub. Kijowskiej, Podolskiej i Chersońskiej, oraz ułatwienie ich zbytu. Towarzystwo zamierza założyć w Humaniu i kilku punktach Cesarstwa własne tatersale, za granicą zaś agentury. Każdy nowy członek nabywa udział za 250 rb. Wszystkich udziałów będzie 150.

Pińsk. Ziemianie w pow. Pińskim gub. Mińskiej, którzy dotychczas nie bardzo byli ruchliwi na polu działalności szerszej, ekonomicznej lub społecznej, obecnie zapragnęli poprzeć zaniedbane i pozostające w najpierwotniejszym stanie gospodarstwa włościańskie. Postanowili tedy pociągnąć lud do czynnego udziału w spółkach agronomicznych i w tym celu r. z. złożyli do zatwierdzenia władzy wyższej projekt organizacyi „Pińskiego Towarzystwa rolniczego." ułożony ściśle według wzoru ustawy normalnej. Z powodu jednak nieprzychylnej opinii gubernatora mińskiego, ministeryum rolnictwa odmówiło ziemianom pińskim zatwierdzenia tego towarzystwa.

Witebsk. Korespondent *Gaz. Polskiej* podaje następujące szczegóły wielce charakterystyczne: Pomimo licznych kuratoryów trzeźwości, pijaństwo po dawnemu stanowi wielką plagę w stosunkach miejscowych. Żydkowie po dawnemu potajemnie szynkują wódką, a włościanie przed władzami nie zdradzają nigdy swych dostawców. Oprócz paru ukrytych gorzelni, które wyśledzić zdołano, rozpowszechnił się proceder wydobywania spirytusu z lakierów. Jak wiadomo, spirytus używany do podobnych przedsiębiorstw nie ulega opłacie akcyzowej, to też i lakiery są sprzedawane stosunkowo taniej, niż zwykły spirytus. Otóż Żydzi zaczęli nabywać te lakiery w wielkiej bardzo ilości i wyrabiać z nich za pomocą przeróżnych aparatów, spirytus czysty. Przedsiębiorstwo to okazało się nadzwyczaj zyskownem i rozpowszechniło się szybko. Obecnie jednak miejscowe władze akcyzy położyły pewną tamę tym nadużyciom.—Otwarto nareszcie ruch na kolei Moskiewsko-Windawskiej. Przecina ona znaczną część gub. Witebskiej, przechodzi przez miasta Rzeżycę i Lucyn. Kolej ta skraca drogę ku morzu Bałtyckiemu i ma ogromne znaczenie ekonomiczne.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pisma rosyjskie donoszą, iż d. 24 sierpnia ks. Bilakiewicza wysłano na zamieszkanie do gub. Astrachańskiej.

— Zarząd fabryki Towarzystwa akcyjnego Leonhardt, Walker i Girbardt w Łodzi stara się o pozwolenie na urządzanie odczytów dla swoich robotnic o wychowaniu dzieci i gospodarstwie domowem. Prócz tego na odczytach ma być udzielana nauka robót ręcznych.

— Według słów *Torg. Prom. Gaz.*, sprawa uregulowania służebności w Król. Polskiem po wielu latach zbliża się do rozwiązania. Projekt skupu przez ziemian służebności włościańskich, opracowany w ministeryum spraw wewnętrznych będzie wniesiony w r. b. na jesiennej sesyi rady państwa.

Szkoły. Z rozkazu Najwyższego, jak donosi *Warszawskij Dniewnik*, na urządzenie w r. b. zajęć praktycznych na wydziałach historyczno-filologicznych i prawnych przeznaczono 16,200 rb. Z sumy tej uniwersytet warszawski otrzyma 1,250 rb., tj. 500 rb. dla wydziału historyczno-filologicznego i 750 dla wydziału prawnego. W roku przyszłym na urządzenie zajęć praktycznych we wszystkich uniwersytetach ministeryum oświaty zażąda kredytu w wysokości 32,400 rb.

— *Nowosti* donoszą, iż w r. b. do uniwersytetu petersburskiego przyjętych będzie 3% Żydów.

W ministeryum skarbu utworzono komisyę, której powierzono egzaminowanie osób, pragnących trudnić się nauczaniem buchhalteryi, korespondencyi handlowej i innych przedmiotów, wykładanych w szkołach handlowych ministeryum skarbu. Komisya ta rozpocznie swe czynności w bieżącym miesiącu.

Lombardy prywatne. W niektórych lombardach i kasach pożyczkowych w Warszawie pobierana jest opłata za przechowanie fantów w stosunku 2—3% miesięcznie. Ponieważ według wyjaśnienia senatu niezależnie od procentu pobieranie wysokiej opłaty za przechowanie jest niczem innem, jak ukrytą lichwą i winno być karane, więc oberpolicmajster warszawski podniósł sprawę zmniejszenia opłaty za przechowanie do 1% na miesiąc, na co zgodził się obecnie Główny Naczelnik kraju. Rozporządzenie to będzie niezwłocznie wprowadzone w życie; właściciele lombardów w razie niestosowania się do tego rozporządzenia będą pociągani do odpowiedzialności sądowej.

Koleje i komunikacye. *Peterb. Wied.* piszą, iż w tych dniach przybyli do Petersburga delegaci zarządu mińskiego Tow. rolniczego, w celu wyjednania pozwolenia na skierowanie nowej kolei żel. Petersburg-Kijów przez pow. Rzeczycki. W razie przychylenia się władz do rzeczonej prośby, miejscowi ziemianie zobowiązują się oddać bezpłatnie na kolej budynki, grunt, a także piasek, kamień i materyały drzewne.

— Kijowski komitet giełdowy zwrócił się z prośbą do p. ministra skarbu o przedłużenie głównej linii kolejowej Petersburg—Kijów do Odesy, w celu połączenia morza Bałtyckiego z Czarnem.

— Do rozpoznania ministeryum komunikacyj złożono projekt urządzenia na stacyach kolejowych osobnych pomieszczeń dla pasażerów na wypadek opóźnień pociągów, zatrzymania ich w drodze, katastruf kolejowych. Projekt żąda, aby przy budowie nowych linij kolejowych lokale takie były obowiązkowo urządzone.

— Od dnia 30 sierpnia otwarto ruch prawidłowy na odnodze kolei nadwiślańskich Łuków-Lublin. Przewóz pasażerów i towarów odbywać się będzie tymczasowo na zasadzie taryf, ustanowionych dla głównej linii kolei Nadwiślańskich.

Wystawy i zjazdy. Dnia 15 b. m. w Petersburgu odbędzie się posiedzenie międzynarodowego komitetu meteorologicznego, na które przyjadą przedstawiciele 17 różnych mocarstw — dyrektorowie głównych obserwatoryów meteorologicznych. Posiedzenia przy drzwiach zamkniętych.

— Cesarskie Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu otwiera doroczną jesienną wystawę nasion w d. 12 listopada r. b., celem umożliwienia rolnikom nabywania nasion bezpośrednio od wytwórców. Najlepsze nasiona będą nagradzane dyplomami pochwalnymi, o czem Towarzystwo zamieszcza wiadomość w swych rocznikach. Deklaracye z dokładnym adresem i próbkami nasion należy przesyłać do Towarzystwa do d. 27 października.

Katastrofa. W Sosnowicach, w kopalni węgla „Niwka" zdarzył się straszny wypadek: W chwili, gdy kilkunastu górników zbliżyło się do miejsca, gdzie władowano naboje dynamitowe, nastąpił wybuch. Pięciu górników zabitych. Ciała trzech: Konstantego Welka, Szymona Pietrusa i Jana Chudowicza po wybuchu znaleziono poszarpane w kawały. Dwaj inni: Wojciech Bielas i Jan Dura zabici uderzeniem odłamków. Oprócz powyżej wymienionych, kilku innych górników otrzymało cięższe lub lżejsze rany. Jeden z nich w drodze do szpitala w Zagórzu życie zakończył.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czytelnikowi z Lublina. Pytanie pańskie jest dość spóźnione, gdyż ostateczny termin konkursu upływa 1 października, a o nagrodę ubiegać się mogą poematy, obejmujące co najmniej 500 wierszy.

Wielbicielowi Brolisa. M. Szelkowski (Brolis) służył w korpusie inżenierów w Petersburgu, gdzie umarł w 1897 r. Przez wiele lat był korespondentem naszym z tego miasta, a swoje utwory powieściowe drukował przeważnie w *Prawdzie* („Z dziennika pesymisty" 1886-7, „Złoczyńca" i „Kapral" 1887, „Sen filozofa" 1888, „Ibrahim" 1890, „Z notatek starego kawalera" 1890, „Ałtaj" 1892. Osobno wydany został zbiorek jego nowel p. t. „Marzenia" (1892). Był to umysł oryginalny a charakter wielkiej zacności. Adres Prusa: *Kuryer codzienny.*

Panu W. Bandowskiemu Cleveland. Praca Drapera wyczerpana, dzieła Darwina można nabyć w księgarniach.

Administracyi zakł. hydr. Czarniecka Góra. Nie możemy zamieszczać protestów przeciwko artykułom drukowanym w innych pismach, gdyż to nie jest dla nas ani możliwe, ani obowiązujące. Jeżeli korespondencya pomieszczona była w *Kur. warsz.*, dlaczegoż my mamy ją prostować?

Prenumeratorowi. Wyraz ten nie istnieje w języku polskim.

„Listek szkarłatnej lilii." Bez żadnej wartości.

G. Ett. Wyrażenie zupełnie prawidłowe i w naszym języku używane.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach ***Prawdy,*** *wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko* ***dwa ruble*** *bez przesyłki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Августа 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.